

Złączył nas czas.

Część 2.

Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym, kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem – o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.

*

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Znakomita Pana sztuka „Maestro” w reż. Kazimierza Dejmka (1983), odbiła się szerokim echem. Jest to opowieść o skrzypku, który po wielu latach pobytu za granicą, chce zorganizować swój jubileusz w Polsce. Podobno inspirował się Pan historią Artura Rubinsteina, który zresztą przy innej okazji pojawił się na jednym z Pana spektakli.

Jarosław Abramow-Newerly:



Fot. Wiktor Zajkowski-Gad

Do Artura Rubinsteina żywiłem starą wdzięczność. Otóż w 1966 roku, akurat w czasie obchodzonego w Polsce Millenium dyrektor Jerzy Jasiński, ojciec Ireny Zurowskiej mieszkającej dziś w Toronto, postanowił wystawić w kierowanym przez siebie Teatrze Polskim w Warszawie moją nową sztukę „Derby w Pałacu”. Rzecz rozgrywała się w pałacu w Dembowcu, w państwowej stadninie koni, którą kierował dyrektor Roman Karbot. Karbot rozmiłowany w przeszłości przekształcił pałac w Dembowcu w swego rodzaju muzeum konia rasowego w Polsce. W głównej sali stała makietka naturalnej wielkości ogiera, czołowego reproduktora dębowieckiej hodowli. Tej polityce Karbota sprzeciwia się sekretarz Byrczak, który pragnie zmienić Dębowiec w ośrodek rekreacyjny, a część koni sprzedać wysoko

za dewizy. Wprowadza do pałacu swoich robotników, których wyrzuca Karbot. Nabywcą koni jest hrabia Zygmunt Dembopolski, przedwojenny właściciel Dębowca, który w tym celu po raz pierwszy po wojnie przyjeżdża do Polski z Toronto. Pisząc w 1965 roku tę sztukę szukałem na mapie dźwięcznej nazwy miasta i do głowy mi nie przyszło, że za dwadzieścia lat sam wyląduję w Toronto, tak jak mój bohater. Hrabia Dembopolski, którego znakomicie zagrał Władysław Hańcza, widząc po środku kukłę konia naturalnej wielkości nie omieszkał powiedzieć:

- To pięknie. Mnie wyrzuciliście z pałacu w 1945 roku po to, by moje miejsce zajął wypchany ogier. Zaiste koński żart historii. - „Domator” to czołowy reproduktor naszej dembowieckiej hodowli. Znajdą go hodowcy w każdej księdze stadnej! - mówi Karbot - A mnie w każdym herbarzu polskim - odpowiada Hrabia - Ale nikt mnie z tego powodu nie wypchał i nie ustawił po środku pałacu. - Zabawne - kpi dalej hrabia - Koń powinien być rasowy, a człowiek nie powinien być rasistą. Geny i genealogia furda! Na śmietnik! A w życiu liczy się rasa! Krew! Kto cię począł, człowieku? ! Oto fundamentalne pytanie naszych czasów!

Następnie hrabia Zygmunt wspomina wraz ze swoim kamerdynerem Józefem, który dalej pracuje w Dębowcu, dzień, kiedy w 1945 roku opuszczał pałac - *Obeszliśmy dookoła pałac - mówi Józef - a następnie pan hrabia spytał: - Czy ja tu jeszcze*

wrócę, Józefie? – Wróci pan hrabia! Przecież Bóg jest w niebie! – odparłem. – Pan hrabia wyciągnął rękę na Wschód skąd grzmiało i rzekł: – Nie, Józefie. Nie wrócę. Azja nadchodzi. – I rzeczywiście. Nie wrócił. A mnie upaństwowiono wraz z pałacem.

Kamerdynera Józefa grał wyśmienicie Bronisław Pawlik. Po kwestii „Azja nadchodzi!” otrzymywał gromkie brawa, które spokojnie przeczekiwał i dodawał. „I rzeczywiście”. Tu znów dostawał brawa. Po dużej pauzie mówił dalszy tekst. Po pierwszym akcie sztuki, wpadł do mojej łóży zdenerwowany dyrektor Jasiński i powiedział: – *Niedobrze, panie Jarku. Zenon Kliszko ani razu się nie uśmiechnął i bardzo mu się te oklaski na sali nie podobają.* Kliszko był drugą osobą w państwie po Władysławie Gomułce i kierował całą polityką kulturalną w partii – *To rzeczywiście niedobrze, panie dyrektorze – przyznałem – No, tak – rzekł Jasiński. – Ale jest nadzieja. Córce Kliszki sztuka się bardzo podoba, śmieje się i klaszcze, to może ona go przekona.* Bardzo mnie to zaniepokoiło. Dalej aktorzy grali jak na skrzydłach i odnieśli wielki sukces. Publiczność wstała i zgotowała im brawa na stojąco. Ja byłem wywoływany na scenę. Ale los sztuki i dyrektora Jasińskiego wisiał na włosku.

W niedługim czasie po premierze władze partyjne zdjęły go z tej dykcji, dostał tak zwanego kopa w górę i mianowano go dyrektorem Teatru Wielkiego w budowie. I w tej niepewnej sytuacji mojej sztuki, we wrześniu 1966 roku przyjechał z wizytą

Artur Rubinstein i mój starszy kolega z radia, kierownik działu muzyki poważnej Roman Jasiński, stary przyjaciel Rubinsteina, zaprowadzi go na moje „Derby w pałacu”. I w wywiadzie udzielonym reporterce „Expresu Wieczornego” na pytanie co widział w Warszawie mistrz odpowiedział: - *Widziałem w Teatrze Polskim sztukę Abramowa „Derby w pałacu” i bardzo mi się podobała.* To zdanie wielkiego pianisty bardzo wzmocniło niepewną sytuację sztuki. Dopiero w grudniu tego roku, po sześćdziesięciu sześciu przedstawieniach przy bitych kompletach na sali sztukę kazano wyciszyć. Tak to się wtedy nazywało. Bezpośrednią przyczyną zdjęcia „Derbów” z afisza było oddanie legitymacji partyjnej przez mojego Ojca po tak zwanej sprawie Leszka Kołakowskiego.



Karykatura Jarosława Abramowa-Newerlego narysowana przez Zofię Góralczyk z STS-u (żonę reżysera Jerzego Markuszewskiego), fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

W dziesięciolecie polskiego Października 1956 Leszek Kołakowski wygłosił odczyt na Uniwersytecie Warszawskim, w którym w ostrych słowach potępił odejście ekipy Gomułki od ideałów socjalizmu z ludzką twarzą, za co został usunięty z partii. Władze powołały specjalną Komisję Partyjną na czele z Zenonem Kliszko, która puszczała taśmę z nagraniem tego przemówienia i kazała się pisarzom partyjnym do niego ustosunkować, oczekując

oczywiście potępienia Kołakowskiego. Po przesłuchaniu taśmy Ojciec odparł, że w zasadzie zgadza się z Kołakowskim.

Kołakowski nie powiedział nic nowego. – *Jak to!?* – obruszył się Kliszko i zaczął bronić polityki kulturalnej partii i systemu sprawiedliwości społecznej. – *A wie, towarzysz, ile kosztuje sprawiedliwość społeczna na Mazurach w powiecie mrągowskim, gdzie mam dom!?* – *Nie* – rzekł Kliszko. – *Pięćset złotych. Bo tyle wynosi łapówka, którą się daje sędziemu. I to wie każdy mieszkaniec we wsi.*

Tego było za wiele. Kliszko już tego nie wytrzymał: – *Niedaleko spada jabłko od jabłoni* – warknął zły przypominając sobie o moich „Derbach”. Ojciec zaś żeby uprzedzić decyzję partii sam złożył legitymację partyjną w Związku Literatów Polskich.

Opowiedziałem historię „Derbów w pałacu”, a Pani pytała mnie o sztukę „Maestro”.

Historia tej sztuki jest niezwykle interesująca. Rzeczy, które się działy wokół niej, wiele mówią o tamtych czasach. A powracając do późniejszej sztuki „Maestro”, Artur Rubinstein już nie zdążył jej obejrzeć.

Ale żył jeszcze w czasie gdy pisałem „Maestro” i czytałem jego pamiętniki. Jemu zresztą dedykowałem tę sztukę. Bohaterem jej był światowej sławy skrzypek Orland Steinberg, który w stanie

wojennym postanowił obchodzić swoje stulecie w Polsce, w której się urodził. Władze PRL pragną wykorzystać ten fakt propagandowo w celu zniesienia zachodnich sankcji dla Polski. Chcą jednak wizytę tę w pełni kontrolować. Mistrza zamierzają ugościć w pałacu w Wilanowie.

Czyli jest to już druga sztuka Pana, która rozgrywała się w pałacu.

No, właśnie. Był już taki precedens w rzeczywistości. Otóż gdy przyjechał z wizytą do Polski prezydent Francji generał Charles de Gaulle, I Sekretarz PZPR Edward Gierek kazał go umieścić w pałacu w Wilanowie. Edward Gierek w młodości był górnikiem w Belgii i jako jedyny przywódca w socjalistycznym obozie mówił po francusku. Jako ciekawostkę dodam, że słynna firma cukiernicza „Bliklego” wysłała generałowi do Wilanowa paczkę pączków. W czasie wojny bolszewickiej w 1920 roku młody major Charles de Gaulle był we francuskiej misji wojskowej w Warszawie i bardzo lubił jeść pączki w kawiarni „Bliklego” na Nowym Świecie.

W moim „Maestro” władze PRL zmieniają, na czas wizyty mistrza, dyrektora muzeum w Wilanowie i dają swojego człowieka wiadomych służb. Orland Steinberg pragnie się zobaczyć z dawnymi przyjaciółmi, których nazywa Ostatnimi Mohikanami. Wśród tych Indian jest pierwsza żona Orlanda,

słynna diva operowa Ksawera zwana Kseną. Mistrz przyjeżdża ze swoją piątą żoną, Eleonorą, emigrantką marcową. Rolę Kseny Kazimierz Dejmek powierzył Ninie Andrycz. W żartach mi powtórzył, że jak na pierwszej próbie aktorzy przeczytali tekst, to Nina Andrycz powiedziała: – *Panie dyrektorze. Ja nigdy w życiu nie grałam w epizodach.* – *Ależ pani Nino, to nie jest epizod!* – odparłem. – *Tylko co?* – *Duża rola* – odparłem. – *Jak to duża!? Nie ma mnie zupełnie w trzecim akcie. Publiczność zdąży o mnie zapomnieć.* I tu bestia miała rację. Tak więc, drogi autorze, musi Pan dopisać jej parę zdań w trzecim akcie, żeby mogła wyjść śmiało do ukłonów. Oczywiście chętnie się zgodziłem. I Nina Andrycz w trzecim akcie wychodziła w pięknym futrze od Mao-tse-tunga, które dostała w Pekinie od przywódcy Chin, podczas bratniej wizyty przyjaźni, ze swym mężem premierem Józefem Cyrankiewiczem i z dumą mówiła: – *Stara Warszawa to ja!* – zbierając gęste brawa.

Przed rozpoczęciem prób zaprosiła mnie do siebie do mieszkania w Alei Róż w Warszawie, żeby poprawić tekst, aby „stał się bardziej mowny” – jak powiedziała. Mimo, że uważałem siebie za specjalistę od dialogu te wszystkie jej drobne poprawki uznałem za słuszne. Miała świetny teatralny słuch. Głównego bohatera Orlanda Steinberga zagrał Ignacy Machowski. Był to znakomity aktor, tyle tylko, że miał nieszczęście zagrać rolę Lenina, do którego był bardzo podobny. Dejmek jednak obiecał, że go się ucharakteryzuje i nie będzie znać tego podobieństwa. I

rzeczywiście. Z włosami i siwą, krótką brodą Ignacy Machowski wyglądał jak Hemingway.

Na koniec powiem Pani rzecz niezwykłą. Otóż w kilkanaście lat od premiery „Maestro” Alina Janowska zaprosiła mnie do Szkoły Muzycznej na Żoliborzu w Warszawie, którą jako radna się opiekowała. I tam podeszła do mnie pewna pani i powiedziała: – *Pan mnie sobie nie przypomina. Jestem żoną Igo Machowskiego. Maestro w Pana sztuce!* – Ach, oczywiście – potaknąłem przypominając sobie, że Machowski się w tym czasie ożenił. – *No, właśnie. A to jest jego córka. Bardzo utalentowana skrzypaczka, która wystąpi niedługo z koncertem w Filharmonii Narodowej* – przedstawiła mi młodą dziewczynę. I co Pani na to, pani Joanno!? Rola wielkiego skrzypka to sprawiła? Nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

To rzeczywiście niezwykła opowieść.

Jarosław Abramow-Newerly, „Ja, ty, oni”, 1975 r., słuchowisko radiowe

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała, że w latach 70. otrzymał Pan nagrodę Teatru Telewizji, w którym pracowała w redakcji repertuaru, organizując konkursy, prowadząc biuletyn Teatru TV. Mówiła, że kiedy ogłaszany był konkurs na sztukę teatralną, Pana sztuki zawsze znacząco się wyróżniały na tle innych

przysyłanych tekstów, od razu się czuło, że są napisane i przemyślane przez znakomitego dramaturga. Jak przypomina Pan sobie ten czas?

Z panią Aleksandrą Ziółkowską-Boehm rzeczywiście poznałem się w Telewizji w Warszawie kilka miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego. W 1967 roku napisałem dwie jednoaktówki „Zebek” i „Wrotek” według opowiadań Marka Nowakowskiego pod tym samym tytułem. Połączyłem je w całość pod wspólnym tytułem „Swojacy”. Agnieszka Osiecka dopisała piosenkę. „Swojakami” zainteresował się Janusz Warmiński, dyrektor Teatru „Ateneum” i chciał wystawić ich na małej scenie swego teatru. Bardzo się z Markiem ucieszyliśmy. Po pewnym czasie zaprosił mnie do teatru i ze smutną miną oświadczył, że nie uzyskał zgody z Urzędu Miasta na wystawienie tej sztuki. Bardzo żałowałem, bo mogło to być dobre przedstawienie. W czasie pierwszej „Solidarności” Telewizja zainteresowała się „Zebkiem” i chciała go zagrać w swoim teatrze. Otrzymał chyba nawet jakąś nagrodę. Wszystko przekreśliło wprowadzenie stanu wojennego. A z panią Aleksandrą później spotkałem się w Toronto, gdzie przebywała na stypendium.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała też o procesie Melchiora Wańkowicza, w którym Pana ojciec występował jako świadek obrony. Proszę o tym opowiedzieć.

To jest właśnie jeden z pisarzy o lwim piórze w PRL. W 1964 roku opublikowany został krótki list trzydziestu czterech wybitnych pisarzy i intelektualistów, w tym Wańkowicza, do władz państwowych z apelem o zmianę polityki kulturalnej i złagodzenie działalności cenzury. List ten odczytany został w rozgłośni Radia Wolna Europa i stał się powszechnie znany. Wańkowicz oskarżony został o to, że przekazał ten list do RWE i pisał wrogie teksty szkodzące Polsce Ludowej. Wytoczono mu proces sądowy. Wańkowicz nie skorzystał z adwokata i sam się bronił. Poprosił też na świadka obrony swojego Ojca. Tata w swoim wystąpieniu jako jedyny na sali stanął po jego stronie. Powiedział, że posadzenie na ławie oskarżonych wybitnego pisarza w kajdankach między dwoma milicjantami nie jest dobrym pomysłem i nigdy jeszcze nie przyniosło pożądanych efektów. I im wcześniej Melchior Wańkowicz zostanie zwolniony tym lepiej. Bo nikt jeszcze nie wygrał z człowiekiem pióra. Obok Ojca wystąpili jeszcze pisarze Kazimierz Koźniewski i Bohdan Czeszko i potwierdzili zarzuty stawiane oskarżonemu. Wańkowicz zaprzeczał kontaktom z Wolną Europą i twierdził, że list 34 krążył po Warszawie i mógł być przekazany przez kogoś innego. Po swoim uwolnieniu (dostał wyrok w zawieszeniu) był niezwykle wdzięczny Ojcu za jego obronę na procesie i niemal do końca życia na swoje imieniny zapraszał Ojca na litewską nalewkę robioną przez siebie.

W 1985 roku wyjechał Pan wraz z żoną Wandą biologiem z

doktoratem z wirusologii do Kanady, gdyż żona dostała tam pracę. Zostawił Pan za sobą artystyczne środowisko, budowane przez wiele lat, kontakty, całe swoje zawodowe życie. Wydawałoby się, że trudno będzie Panu odnaleźć się na emigracji. Ale nie, do satyryka, dramaturga, kompozytora doszła jeszcze jedna profesja - pisarza. Zajął się pan tematem Polaków na emigracji, a umiejętności prozatorskie okazały się kolejnym Pana talentem. Powstały takie książki jak „Kładką przez Atlantyk”, „Pan Zdzich w Kanadzie”, czy historia rodziny Wawrów - polsko-ukraińskich emigrantów w Toronto w książce „Nawiało nam burzę”. Powiedział Pan kiedyś, że dzięki emigracji, stał się Pan prozaikiem.

Rzeczywiście tak się stało. W kraju byłem przede wszystkim satyrykiem i dramatopisarzem. Do 1975 roku podpisywałem się tylko Jarosław Abramow, chcąc się odróżnić od mojego Ojca. Ale kiedy miałem już swoją własną ustaloną pozycję literacką spytałem Ojca, czy mogę użyć drugiego nazwiska Newerly. Ojciec bardzo się ucieszył i zażartował: - *A ja myślałem, synu, że ty się mnie po prostu wstydzisz?* W ten sposób podkreślona została tradycja rodzinna. Moja Żona Wanda, która po doktoracie z wirusologii pracowała w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie otrzymała propozycję pracy w Kanadzie najpierw na Uniwersytecie w Kingston, a potem w Toronto. Byliśmy oboje bardzo zmęczeni stanem wojennym i postanowiliśmy trochę

odetchnąć świeżym powietrzem w Kanadzie pachnącej żywicą. Znałem ją tylko z książek podróżniczych Arkadego Fiedlera. W Kingston przebywała młodsza siostra Wandy, Danuta Kozbór - Fogelberg, która po doktoracie przeniósła się do Filadelfii i pracowała w słynnym Wistar Institute kierowanym przez naszego rodaka, wynalazcę doustnej szczepionki przeciw polio, chorobie Heine-Medina profesora Hilarego Koprowskiego.

Do Kanady wyjechaliśmy sami zostawiając u Babci Heleny Kozbórowej naszą małą córeczkę Marysię. Po roku Babcia Helena z Marysią do nas przyjechała. Nie zamierzaliśmy długo zostać w Kanadzie. Jak laboratorium Wandy prowadzone przez profesor Johna Roderę przeniosło się z Kingston do Toronto, pozostawała sprawa mieszkania. I w jego znalezieniu pomógł mi STS.

W jaki sposób?

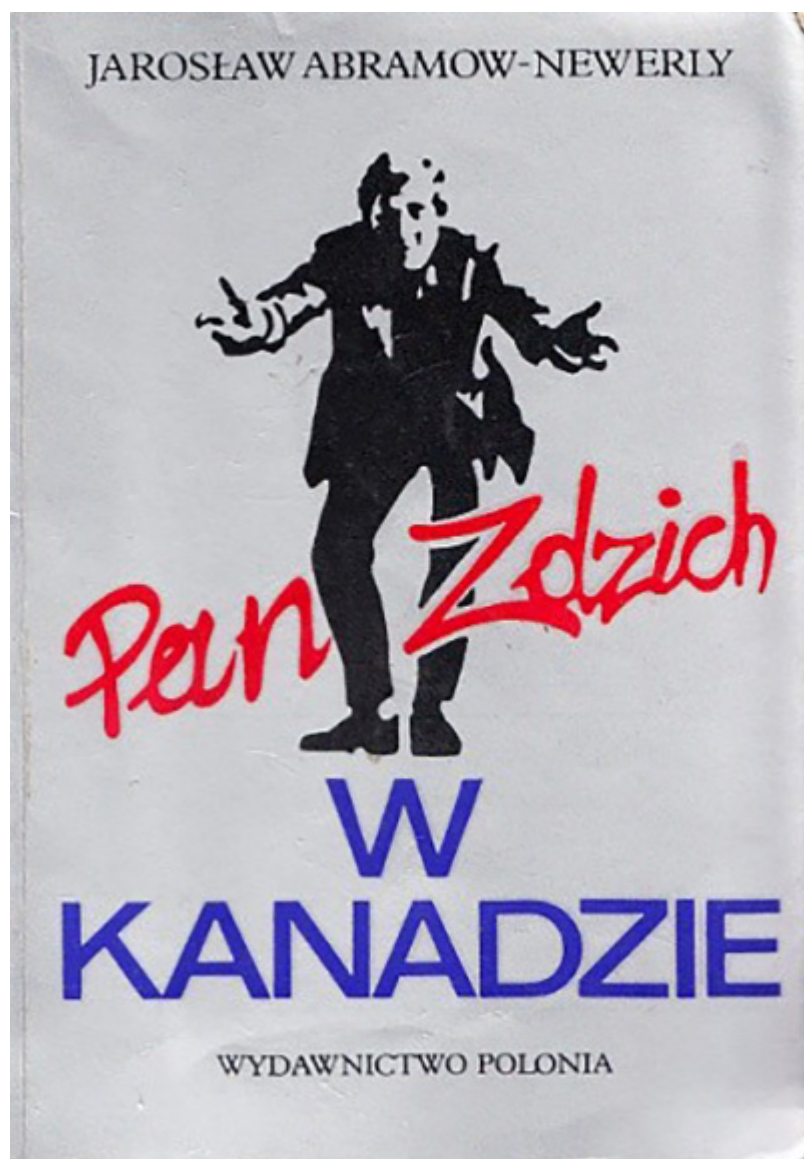
Bardzo prosty. Znany reżyser Tadeusz Jaworski, którego mi polecił Janusz Warmiński, jak wyjeżdżałem do Kanady, powiedział mi, że Krzysztof Topolski bardzo chce mnie zobaczyć. - Nie znam żadnego Krzysztofa Topolskiego - odparłem - Ale on mówi, że ciebie zna z STS-u. Umówiłem się z Topolskim. Na spotkanie stawił się młody, przystojny człowiek i przedstawił się. - Pan o mnie nie słyszał, ale ja jestem bratem Marysi Wichrzyckiej, żony Wojtka Wichrzyckiego. A ich pan z STS-u

dobrze zna! - Oczywiście. A oni są tu? - Jak najbardziej. Zaraz Pana do nich zaprowadzę. Wojtek Wichrzycki pracował u nas w STS-e w brygadzie technicznej, z zawodu był inżynierem i powszechnie był lubiany. Spadli więc mi jak z nieba.

Ucałowaliśmy się z Wojtkami serdecznie - Ja zmieniłem tu swoje trudne do wymówienia przez Kanadyjczyków polskie nazwisko Wichrzycki na Topperman, rodowe nazwisko rodziców Marysi - śmiał się Wojtek - W Toronto jest wielki przedsiębiorca Tepperman i często mnie z nim mylą - powiedział. Wojtek był jedynym chyba Polakiem, który ze względu na pochodzenie żony zdecydował się pozostać za granicą, a pracował wtedy jako inżynier drogowy w Iraku i chciał zaprotestować w ten sposób przeciw antysemitkiej nagonce prowadzonej w Polsce przez generała Moczara.

*Wracając do mojego mieszkania, to Krzysztof Topolski postanowił się tym zająć. Sam pracował jako sprzedawca używanych samochodów w *Automotiv Clearance Center* i miał wielką siłę przebicia. Dowiedział się, że pracownikom Uniwersytetu w Toronto przysługuje duży blok mieszkalny, gdzie mieszkania są ulgowe. Ponieważ laboratorium badawcze Johna Roderera w *Mount Sinai Hospital* należało do Uniwersytetu, Wandzie to mieszkanie w pełni przysługiwało. Udaliśmy się razem z Krzyśkiem do administracji tego domu i Krzysiek ze swadą przedstawił mnie jak przyszłego laureata Nagrody Nobla, a Wandę jako Marię Skłodowską-Curie. Oczarowana jego*

elokwencją administratorka, pani Nicolson, bez trudu nam to ulgowe mieszkanie przyznała. W ten sposób zamieszkaliśmy w dużym wieżowcu przy 35 Charles Street. Zaraz po naszym wprowadzeniu zapukał do naszych drzwi młody człowiek, który przedstawił się: - *Nazywam się Jerzy Barankiewicz. Słyszałem, że do tego mieszkania sprowadzili się Polacy. Jeżeli mogę Państwu w czymś pomóc to służę swoją osobą. Proszę się nie krępować* - zaoferował się. Tak poznałem Jurka Barankiewicza, doktora biochemii, z którym do dziś jestem w wielkiej przyjaźni.



Zacząłem chodzić na lekcja angielskiego, które prowadzone były za darmo w domu parafialnym przy kościele na Charles Street. Tam poznałem przebojowego młodego Polaka, który bardzo narzekał na niską zabudowę domów w Toronto: - *To domki jak z westernu, proę pana* - mówił z wyższością. Współpracowałem już wtedy z polonijną gazetą „Związkowiec”, gdzie pod pseudonimem pisałem felietony i przyniosłem artykuł o tym młodym człowieku, którego nazwałem Zdzichem. Tekst ten bardzo się w redakcji spodobał i Robert Długoborski, którego znałem jeszcze z radia w Warszawie, zaproponował, żebym pisał tak dalej. W ten sposób w tygodniowych odcinkach powstał „Pan Zdzich w Kanadzie”, którego pisałem pod pseudonimem Marian Radomski. I na spotkaniu świątecznym w „Związkowcu” podszedł do mnie działacz Związku Polaków w Kanadzie i spytał: - *Pan Radomski?* - *Tak* - odparłem ze śmiechem. - *Ja jestem też Radomski* - oświadczył - *Panie! Co ja mam przez tego Pańskiego „Pana Zdzicha”!* *Wszyscy myślą, że ja go piszę.*

Muszę przyznać, że cała redakcja „Związkowca” zachowała się bardzo ładnie i nikomu nie zdradziła, że to ja go piszę. Konspiracja więc była pełna. Miałem polski paszport i nie chciałem zrywać więzi z Krajem. Przy pisaniu tej książki wykorzystałem wszystkie swoje satyryczne doświadczenia jako autor STS, dlatego jest pełen humoru. Ale do głowy mi nie przyszło, że dosłownie za parę lat, w 1989 roku, dojdą w Polsce i na świecie takie zmiany, że będę go mógł podpisywać swoim

nazwiskiem i będzie nadawany w Kraju w popularnej audycji radiowej „Cztery pory roku” w znakomitej interpretacji Mariana Kociniaka. To w 1986 roku było nie do pomyślenia.

Na emigracji powstała również doskonała trylogia biograficzna „Lwy mojego podwórka”, „Lwy wyzwolone” i „Lwy STS-u”. „Lwy mojego podwórka” to jedna z lepszych książek o powstaniu warszawskim, jakie czytałam w życiu. To historyczne wydarzenia pokazane z perspektywy dziecka. Pojawia się tam m.in. postać rotmistrza Witolda Pileckiego, który uratował życie Pana mamie i Panu. Proszę o tym opowiedzieć.

Początek „Lwów mojego podwórka” miał też w „Związkowcu”, gdzie napisałem duży tekst „Moja III Kolonia”. Potem podczas pisania mojej polsko-ukraińskiej sagi „Nawiało nam burzę” bohater książki Leszek Wawrów gorąco mnie namawiał, żebym napisał swoją autobiograficzną książkę. I tak prawie równoległe do powstania „Nawiało nam burzę” ukazały się w 2000 roku w Wydawnictwie „Twój styl” „Lwy mojego podwórka”.

Książka miała bardzo duży odzew czytelnicy. Zwłaszcza na Żoliborzu. Dyrektor Wydawnictwa Andrzej Rosner mówił mi, że z biblioteki na Żoliborzu zadzwoniono do niego z prośbą o drugą książkę „Lwów”, bo w bibliotece ustawiają się do niej kolejki. Żył jeszcze wtedy dużo moich kolegów z podwórka. Dziś żyją już

tylko ja i Krystyna Brzezińska Lindenberg. Mało coś nas, kurka wodna. Powtarzam za Ryśkiem Praczem.

Wracając do Pani pytania to w 2000 roku jedynie nieliczni ludzie w Polsce wiedzieli kto to jest Witold Pilecki. Syn Witolda Pileckiego, mój kolega Andrzej Pilecki przyszedł do mnie do domu podziękować, że wspomniałem o jego ojcu, przyniósł też fotografię ojca, którą zamieściłem w drugim wydaniu książki. Z czasem o Pileckim stało się głośno, i brytyjski reporter Jack Fairweather wydał o nim książkę w 2019 roku pod tytułem „The Volunteer”. W 2020 roku ukazało się polskie wydanie tej książki zatytułowane „Ochotnik” w wydawnictwie „Znak”. Spotkałem się parokrotnie z Jackiem Fairweatherem, opowiedziałem mu w jakich okolicznościach poznałem Witolda Pileckiego.

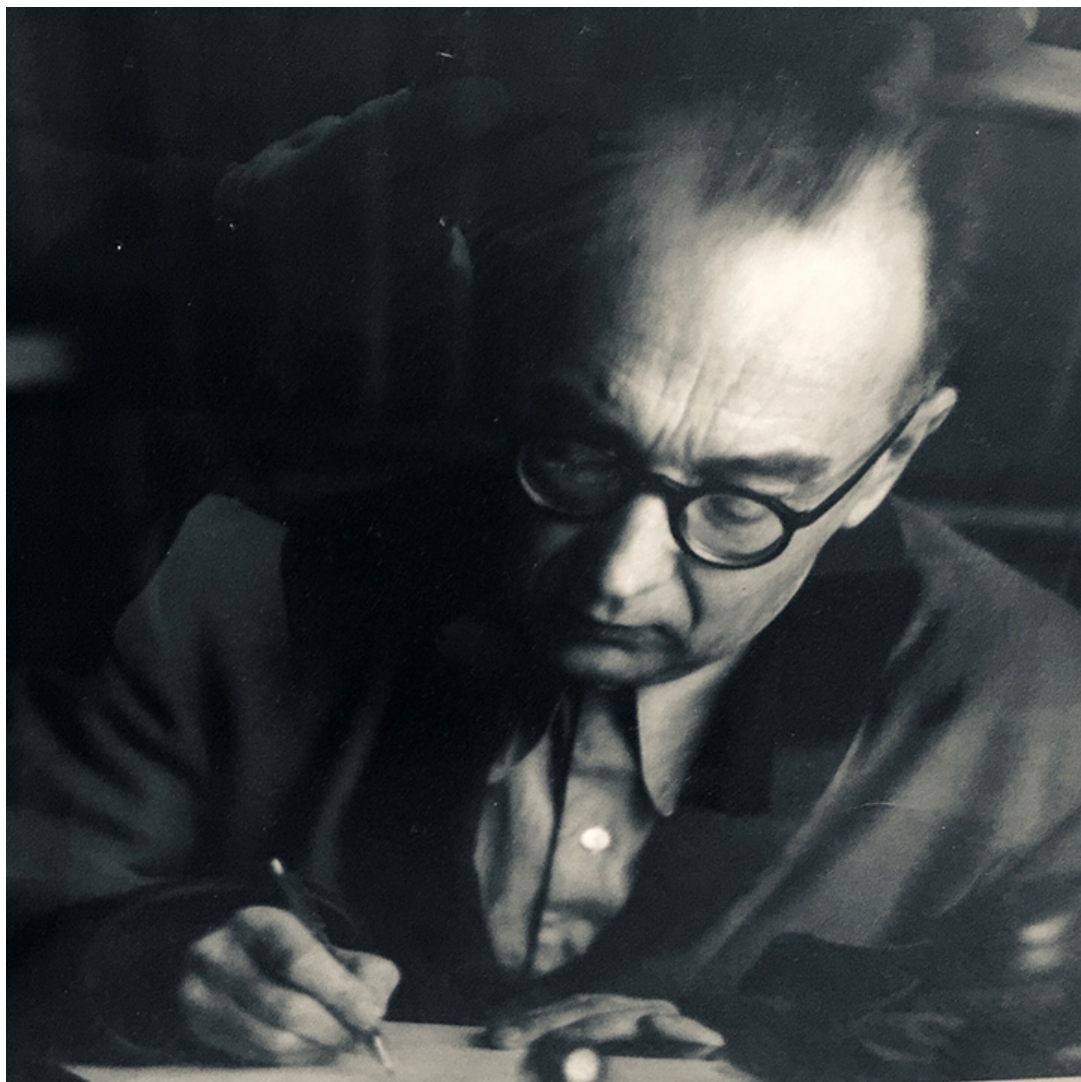
W 1943 roku, już po aresztowaniu mego Ojca i osadzeniu Go w obozie koncentracyjnym na Majdanku, zjawił się u nas żydowski szmalcownik, który przedstawił się jako przyjaciel Lejzora Czarnobrody, którego mój Ojciec pomógł ukryć na wsi, za co w 1983 roku przyznano mu Drzewko Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Jerozolimie. Otóż szmalcownik ten zaczął moją Mamę szantażować, że jeżeli nie otrzyma odpowiedniej sumy pieniężnej to nas wyda na Gestapo, bo jemu jest już wszystko jedno. Zdenerwowana Mama pobiegła do naszych przyjaciół na III Kolonii Aleksandry i Aleksandra Palińskich, gdzie przychodził na obiady Major, czyli Witold Pilecki i

opowiedziała mu o tym. Pilecki uspokoił ją i przyrzekł, że się tą sprawą zajmie. I rzeczywiście zajął się, bo od tej pory ten szmalcownik do nas przestał przychodzić. Najpewniej został zlikwidowany.

Po wojnie w 1948 roku zgłosiła się do mojej Mamy kobieta, która przedstawiła się jako przyjaciółka Witolda Pileckiego i błagała Mamę, żeby pomogła załatwić prawo łaski u Bolesława Bieruta, tak, żeby Witold Pilecki uniknął kary śmierci. Mama nie знаła Bieruta, ale przed wojną jako panna wynajmowała mieszkanie u Janiny Bierutowej, pierwszej żony Bolesława Bieruta. Jako nauczycielka śpiewu w szkole RTPD uczyła też dwoje dzieci Bolesława Bieruta Isię i Janka. Zabawne też było, że Bierutowa skarżyła się Mamie, że Bolek, który przebywał wtedy w Moskwie, zdradza ją z niejaką Małgorzatą Fornalską. W tym mieszkaniu u Bierutowej na II Kolonii WSM składał wizyty Mamie mój Ojciec.

Po Jego wyjściu Bierutowa powiedziała do Mamy: *- I na co pani Panno Basiu taki stary mąż? Młoda, ładna panna może sobie poszukać młodszego.* Mama się roześmiała. Ojciec wtedy miał dwadzieścia siedem lat. Ale zapuścił brodę, nosił długie włosy i wyglądał bardzo poważnie. Mama kazała Ojcu zgolić brodę i jak następnym razem przyszedł do Mamy to zdziwiona Bierutowa powiedziała: *- No, tak. Teraz widzę, że to młody człowiek.* Ja też Janinę Bierutową znałem, bo była u nas w przedszkolu RTPD woźną. Zapamiętałem ją jak chodzi z kubłami i szczotką, a za nią

biegną nasze przedszkolne dwa psy Morus i Totka. Mama postanowiła natychmiast pójść do Bierutowej i przedstawić jej sprawę Pileckiego. Bierutowa nie była już woźną w przedszkolu tylko wysoką inspektorką w ministerstwie Oświaty. Przyjęła Mamę bardzo serdecznie i obiecała pomóc. Kiedy następnym razem Mama się z nią spotkała powiedziała ze smutkiem: - *Niestety pani Basiu nic mi się nie udało zrobić. Bolek odparł, że to jest sprawa polityczna i nie skorzysta z prawa łaski.* Tak więc niezłomny rotmistrz Witold Pilecki został rozstrzelany w 1948 roku. Jego kroki na dziedzińcu, jak prowadzą go do celi śmierci słyszał inny więzień Mokotowa, mój przyjaciel Janusz Krasieński, który opisał to w książce „Na stracenie”.



Tata, Igor Newerly, fot. Piotr Kirnarski

W magazynie „Culture Avenue” opublikował Pan dwa fragmenty książki „Ich lwi pazur” o polskim środowisku literackim. Czy może Pan coś więcej powiedzieć o tej książce?

Teraz zmieniłem ten tytuł na „Piórem, z lwim pazurem”. W tej książce wspominał moich przyjaciół pisarzy mojego pokolenia: Włodzimierza Odojewskiego, Janusza Krasińskiego, Marka Nowakowskiego, Jerzego Sito, Andrzeja Jareckiego, Władysława Terleckiego, Kazimierza Orłosa, Jerzego Krzysztonia i wielu

innych. Oprócz ich portretów starałem się pokazać jak wielką rolę w PRL odegrała mała sala Związku Literatów Polskich w Warszawie w walce o niezależność ludzi pióra i wolność słowa. Książka zaczyna się w 1960 roku z chwilą mojego przyścia do radia, a kończy się teraz. Z perspektywy czasu widzę, że wielu pisarzy pokazało władzom partyjnym taki lwi pazur, dość że wspomnę tu chociażby Janusza Szpotańskiego, który za swoją bezkompromisową szopkę satyryczną na ekipę rządową Władysława Gomułki odsiedział trzy lata więzienia. Bardzo dokładnie opisuję w tej książce moją pracę w Polskim Radio, które przeżywało wtedy swój złoty okres. Wtedy narodziła się polska szkoła słuchowiska radiowego. Moja książka wciąż znajduje się w redakcji u redaktora Huberta Musiała, ale myślę, że w tym roku wyjdzie w wydawnictwie PIW.

Ukazały się też pana wspomnienia o wyjazdach z ojcem na wakacje p.t. „Mój dąb w Suwałkach”. Jednocześnie w 2019 r. wyszła książka Marka Boruckiego „Wybitne dzieci sławnych Polaków”, w której jest rozdział o Pana ojcu Igorze Newerlym i Panu. Jakie relacje łączyły Pana z ojcem? Czy był on dla pana wzorcem literackim?

Bardzo ciekawa książka Marka Boruckiego sprawiła mi ogromną radość. Znaleźć się wśród dwudziestu czterech rodów tak sławnych Polaków jak Aleksander Fredro, Stanisław Moniuszko, Zofia Nałkowska, Jacek Malczewski, Józef Chełmoński, Józef

Conrad - Korzeniowski czy Stanisław Wyspiański to prawdziwy zaszczyt. Jestem w tej książce jedynym żyjącym wybitnym dzieckiem. Marek Borucki pokazuje w swej książce, jak trudno jest udźwignąć dzieciom ciężar sławy swoich wielkich ojców. Doświadczyłem tego sam na sobie dlatego tak dobrze rozumiem świętego malarza Rafała Malczewskiego, który pędzłem starałem się odróżnić od swojego sławnego ojca. Ja, jak już wspomniałem, nie używałem nazwiska mojego Ojca to 1975 roku. W poczuciu własnej wartości uratował mnie teatr STS i dramaturgia radiowa i teatralna. To była moja mała wyspa ocalenia.

Przygotowując nasze spotkanie rozmawiałam z prezes Fundacji PAW (Polish Artists in the World) - Henryką Mielczanowską, która jest kuratorem wystawy Edwarda Barana - artysty mieszkającego we Francji. Opowiadała, że Edward Baran wielokrotnie wspominał STS, cytując z pamięci teksty i śpiewając piosenki. Czy Pan go pamięta?

No jakżesz. Oczywiście. Wiedziałem, że wyjechał do Francji. Wysoki blondyn. Przez wiele lat pracował w STS-e i był bardzo lubiany. Zaprzyjaźniony z Wojtkiem Wicherzyckim, o którym wspomniałem. Pozdrawiam Cię najmocniej kochany Edziu i ogromnie się cieszę, że się odezwałeś.

W rozmowie, którą wykorzystałam w książce „Teatr spełnionych nadziei” powiedział Pan: - W Toronto mam

taką swoją polską wysepkę. Zauważyłem, że czym jestem starszy tym bardziej się izoluję. Nie mam ochoty wyjść na imprezę, gdy np. jest brzydka pogoda. W domu mam warunki, spokój i dobrze mi. W Warszawie ciągle coś mnie rozprasza, spotkania, wizyty, promocje. A tu mam cały dzień dla siebie, wyprowadzam tylko psa i piszę. Czy nadal Toronto, to Pana wyspa?

Tak. Mam tylko do dodania to, że wierny przyjaciel moich codziennych spacerów, pies corgy, nazwany na cześć Franka Sinatry, którego piosenki Wandzia uwielbiała, zmarł niestety w marcu 2020 roku w sędziwym psim wieku piętnastu i pół lat. Kiedy w klinice weterynaryjnej na pytanie jak się nazywa pies Wandzia mówiła: - *Franky. Jak Frank Sinatra*, wzbudzała tym zawsze salwy śmiechu. Franek był bardzo popularny w wieżowcu, w którym mieszkam. Jak sąsiedzi zobaczyli mnie samego zaraz pytali - *A gdzie Franky?* Gdy odpowiadałem, że nie żyję głęboko mi współczuli. Teraz jestem sam na mojej wyspie i jedynym ratunkiem jest pisanie.

31 stycznia 2021 roku odbyło się spotkanie z Jarosławem Abramowem-Newerlym przez platformę Zoom w ramach Klubu Historyka Austin Polish Society w Teksasie. Obecny wywiad utrwala oraz uzupełnia to, o czym rozmawialiśmy podczas spotkania (Joanna Sokołowska-Gwizdka).

„Bohdan, Bohdan trzymaj się”, słowa i muzyka Jarosław Abramow-Newerly, śpiewa Bohdan Łazuka

Część 1:

Złączył nas czas. Część 1.

Zobacz też:

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

O poecie Adamie Zagajewskim

Urodzony 21 czerwca 1945 r. we Lwowie, zmarł 21 marca 2021 r. w Krakowie - polski poeta, eseista, prozaik, przedstawiciel

pokolenia Nowej Fali, sygnatariusz Listu 59 (1975), od 1976 objęty cenzurą, w latach 1982-2002 na emigracji we Francji, od 1983 redaktor „Zeszytów Literackich”; laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1975), Międzynarodowej Nagrody Neustadt w dziedzinie literatury (2004) i Nagrody Księżnej Asturii (2017), w latach 1973-1983 członek Związku Literatów Polskich, od 1979 członek Polskiego PEN Clubu, od 2006 członek Polskiej Akademii Umiejętności; nauczyciel akademicki, tłumacz literacki (wikipedia).



Adam Zagajewski (z lewej) podczas spotkania w Teatrze Chopina

w Chicago w 2012 r., copyright Adam Lizakowski

Adam Lizakowski (*Chicago-Pieszycy*)

W pierwszy dzień wiosny 2021 r. umarł w Krakowie poeta, laureat wielu prestiżowych nagród literackich w Polsce i za granicą. Zmarł w wieku 75 lat.

Literacki Paryż bardzo mnie interesował z czasem poznałem korespondencyjnie ciekawego człowieka i poetę Macieja Niemca, tam mieszkającego redaktora pisma pt. „Kontakt”, wydawanego przez sławnego w Ameryce wówczas działacza *Solidarności* Mirosława Chojeckiego. Z czasem wysłałem do redakcji fragment dziennika kalifornijskiego i tak rozpoczęła się nasza korespondencja i papierowa znajomość. Natomiast z poetą Adamem Zagajewskim spotykałem się wielokrotnie w Stanach w San Francisco, w Krakowie i po raz kolejny po latach w roku 2011 w Chicago. Zaprosiłem go na lampkę dobrego wina do jednej z restauracji na Michigan Avenue, niecałe sto metrów od *Chicago Arts Institute*. Po krótkiej rozmowie emigrantów; jak się panu w Ameryce żyje, co nowego w poezji, nad czym pan teraz pracuje, wyjąłem z plecaka trzy kilogramy wierszy z prośbą o napisanie wstępu do mojego zbioru wierszy pt. *156 listów poetyckich z Chicago do Pieszyc*, który planowałem wydać w Polsce, właśnie we wspomnianych już w tytule Pieszycach. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu poeta się zgodził, nawet nie musiałem długo go namawiać, wprawdzie zajęło mu to prawie pół roku, ale napisał. Dołączyłem przedmowę do maila,

który wysłałem do Pieszyc, do Wydziału Promocji Miasta, który prowadził i finansował całe przedsięwzięcie i pech chciał, że słowo wstępne poety krakowskiego, gdzieś się zapodziało. Skład redakcyjny tworzyli Paweł Brzozowski, Sławomir Szel, Dawid Cech pracownicy wydziału promocji miasta, dyrektorka biblioteki Lidia Zakrzewska-Strózik, za korektę odpowiadała pani Jolanta Maniecka. Kilka lat później będąc w Krakowie zadzwoniłem do niego z prośbą o spotkanie, ale był zbyt zajęty, jednak wskazał miejsce (kawiarenka), gdzie zostawiłem dla niego ów tomik wierszy, bez wyjaśniania, dlaczego nie ma w nim jego wstępu. Krępowiałem się, że tego nie dopilnowałem, bo to był mój obowiązek.

Wstęp pana Zagajewskiego był dla mnie dużą radością i wyróżnieniem i na prawdę bardzo się nim cieszyłem, tym bardziej, że sam mistrz Miłosz zawsze, ale to zawsze mówił o twórczości Zagajewskiego z dużym uznaniem i to publicznie podczas odczytów i prywatnie wśród znajomych. Pamiętam, że raz, a było to w roku 1988 po spotkaniu poetyckim, w którym pan Czesław wygłosił odczyt o poezji polskiej, gdy podszedłem pogratulować mu wystąpienia, ze zmartwioną miną zapytał się mnie, czy mi się podobało? Nie zaskoczył mnie tym pytaniem, bo już na tyle dobrze go znałem, że spodziewałem się takiego pytania. Często pytał się znajomych, co myślą o jego najnowszej książce, odczycie, publikacji czy wierszu, wieczorze autorskim i nawet nie czekając na moją odpowiedź dodał,

zapomniałem wspomnieć Staszka Barańczaka. Tak, pan Adam Zagajewski był jego zdecydowanym faworytem bardzo go sobie cenił jako człowieka i poetę.

Moja znajomość z poetą Adamem Zagajewskim trwała ponad 25 lat, a poeta swoim „stwierdzeniem, poznałem Lizakowskiego dzięki Miłoszowi” zawsze w towarzystwie „zamykał mi usta”. Pan Adam należał już do chyba jednych z ostatnich ludzi, których poznałem w towarzystwie pana Miłosza mieszkając w San Francisco i studiując w Berkeley.

Jego śmierć jest i będzie wielką stratą dla polskiej poezji.

Fragment eseju pt. „Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą”.

Galeria

Zdjęcia Adama Zagajewskiego są autorstwa Adama Lizakowskiego, zostały zrobione podczas spotkania w Teatrze Chopina w Chicago w 2012 roku, copyright Adam Lizakowski.











Złota reneta



Akwarela, fot. azazelok z Pixabay

Ryszard Sawicki (*Namysłów*)

Pokój, w którym spędziłem ponad dwadzieścia lat życia był na pierwszym piętrze willi z ogrodem i miał balkon z oszklonymi drzwiami. Obok drzwi były jeszcze dwa okna. Za oknem po lewej stronie drzwi rosła złota reneta. Widać ją lepiej przez okno małego pokoju, który zajmowała ciotka Stefa, starsza siostra matki, która wychowała mnie i mego młodszego brata. Większy pokój zajmuje teraz ojciec, a ja zajmuję mniejszy pokój ciotki kiedy tylko jestem gościem u rodziców we Wrocławiu. W pokoju jest szafa na odzież, ta sama, w której trzymała wszystkie swoje rzeczy ciotka, a także półki z książkami, stolik i wąskie łóżko. Na

ścianach pomieściłem dużo obrazów, chociaż powierzchnia ścian jest ograniczona.

Za oknem po prawej stronie widać od zewnątrz ścianę domu oddzielającą obydwie pokoje, naprzeciw dęby w parku po drugiej stronie ulicy, a po lewej złotą renetę. Zewnętrzną powierzchnię ściany domu tworzą kwadraty jasnego tynku, między którymi są czarne, smołowane belki. Nad nią widoczny jest fragment dachu. Gdy bywam u rodziców, patrzę na renetę i na drzewa w parku, mam ten sam widok, który miała ciotka Stefa przez ponad trzydzieści lat. Po wojnie, w czasie której ona, jak i najstarsza siostra matki, Jana, straciły mężów, ciotka Stefa zamieszkała u nas i zajmowała się mną i bratem, robiła zakupy stojąc w długich kolejkach, które formowały się codziennie przed sklepami w latach pięćdziesiątych, gotowała i sprzątała w czasie gdy matka była w pracy, a także podczas jej paroletniej rekonwalescencji po chorobie i operacji jakie przeszła po urodzeniu brata.

Wieczorami rodzice bywali zmęczeni i nie mieli ochoty na zabawy z dziećmi. Ojciec przychodził późno, bo pracował zwykle dłużej by dorobić do marnej pensji. Matka często nie czuła się najlepiej. Tylko w niedzielę ciotka mogła od nas odpocząć, bo wyjeżdżaliśmy zwykle do dziadków, rodziców ojca, którzy mieszkali w Trzebnicy, małym mieście położonym dwadzieścia kilka kilometrów na północ od Wrocławia. Kiedy wracaliśmy do domu, mówiliśmy jej dobranoc, czasem przez zamknięte już drzwi pokoju, czasem wchodziliśmy i opowiadali o tym co się

zdarzyło po drodze i na miejscu.

Dojeżdżaliśmy do Trzebnicy wąskotorową lub normalną koleją, a w późniejszych latach autobusami. Najbardziej lubiłem wąskotorową kolejkę, bo jechała wolno, zatrzymywała się często na przystankach, na których wsiadali ludzie ubrani i mówiący nieco inaczej niż ludzie w mieście, a przez okna można było oglądać krajobraz, zrazu nizinny, podmiejski, po kilkudziesięciu minutach pagórkowaty, urozmaicony. W dni pogodne widać było na horyzoncie sylwetkę samotnej Ślęży, a nawet zaczynające się za nią pasmo wyższych gór. Zawsze próbowałem zgadnąć jak daleko tym razem będzie można sięgnąć wzrokiem, ale rzadko udawało mi się, dzięki czemu widok zaskakiwał czymś nowym. Niekiedy były to burzowe chmury nadchodzące od zachodu, niekiedy piękny zachód słońca, a w jesieni lub na wiosnę warstwa ciężkiej mgły, która była zwykle szara, lecz w szczególnych okolicznościach zabarwiała się czerwienią zachodu lub jaśniała pod bezchmurnym niebem.

Opowiadaliśmy ciotce o ładnym zachodzie lub o gościach, których nigdy nie brakowało u dziadków. Na wiosnę mieliśmy dla niej nowiny o kwitnących podmiejskich sadach, a jesienią o kolorowych lasach bukowych. Dolina Trzebnicy położona była za Wzgórzami Trzebnickimi, więc miała nieco inny klimat. Drzewa owocowe kwitły tam trochę później lub wcześniej niż w ogrodach willowych dzielnic Wrocławia. Wtedy ciotka mówiła nam o

ogrodzie przy domu jej i matki rodziców, Heleny i Stefana Czekanowskich w Buczaczu. O tym, jak bawiły się z czterema innymi siostrami, w tamtym ogrodzie, w tamtych pięknych, przedwojennych latach. Jak wchodziły na drzewa, żeby zrywać czereśnie, wiśnie, jabłka i gruszki. O tym, jak ciotka Wiesia spadła z gałęzi, ale na szczęście nic jej się złego nie stało. O tym jak wspaniałe były zbiory owoców ze wszystkich drzew z ogrodu, który położony był na stoku doliny Strypy. Legendę ich dzieciństwa powtarzała każda z ciotek na swój sposób, gdy do nas przyjeżdżały. Opowieści ciotki Stefy powtarzała też matka, ale to Ciotka Stefa miała najwięcej do powiedzenia, bo mogła porównać pracę w buczańskim i wrocławskim ogrodzie. Po wojnie i utracie domu, ciotka Stefa starała się odtworzyć namiastkę ich utraconego raju. Pielęgnowała róże i dalie, siała marchewkę i sałatę. W tych wiosennych zasiewach pomagaliśmy jej czasem z bratem. Jednak tylko renety sprzed okna jej pokoju uznawała za porównywalne do jabłek z Buczacza. Podobnie jak i matce, brak jej było krzewów jaśminu i bzu otaczających dom, bo cóż to znaczyły dwa gatunki bzu i tylko jeden krzew jaśminu.

Gdy obrodziły trzy jabłonie we wrocławskim ogrodzie, ciotka próbowała robić wino z jabłek. Było jednak zwykle za kwaśne albo zamieniało się w ocet. Z drzew buczańskich jabłka były znacznie lepsze, komentowała ciotka. Jesienią jadała renety. Obierała je powoli, starannie, a potem starała się by na ogryzku nie zostało zbyt wiele miąższu. Najbardziej cieszyło ją kwitnące

na wiosnę drzewo. Wtedy wołała mnie i brata i pokazywała jak wschodzące słońce prześwietla tonącą w białych kwiatach koronę drzewa. Patrzcie, to prawie jak w Buczaczu, mówiła i milkła, pogrążając się we wspomnieniach. Cóż mogliśmy wiedzieć o tamtym nieistniejącym ogrodzie. Niewiele, ale powinniśmy byli zapamiętać, że był taki ogród, w którym sześć dziewcząt z koleżankami mogło zniknąć z oczu rodziców i tylko głośne nawoływania pozwalały przekonać się, że żadna nie wdrapała się za wysoko, ani nie robi czegoś równie niebezpiecznego. Opowieści ciotki Stefy wydawały się nam najprawdziwsze, bo to jej pomagaliśmy przy pracy w ogrodzie we Wrocławiu. Zamyśloną nad obrazami z wiosennego ogrodu pamiętam ciotkę najlepiej.

Jabłoń za moim oknem miała w tym roku szczególnie wiele jabłek. Ojciec starannie poukładał je na strychu i w piwnicy. Nawet zwycięsko walczył z myszami, które się dowiedziały o zbiorach. Matka twierdzi jednak, że i w tym roku renety nie były najlepsze. Lato było zbyt suche, jesień zbyt deszczowa. Kiedy spadały z drzewa i kiedy zrywałem je przy pomocy płóciennego worka zawieszzonego na długim kiju, co wieczora zjadałem kilka złotych renet. Zaraz po zerwaniu z drzewa były najlepsze, twarde i soczyste. Ale i teraz jem je z przyjemnością. Oczywiście nie mogę porównać tych renet do tamtych, z buczackiego ogrodu. Mogę tylko sądzić, że są porównywalne. I mogę powtarzać sobie w myśli zapewnienia ciotek i matki. A także powtarzać za Rilke

fragment dziewiątej elegii duinejskiej. Te o drzewie i oknie. I o tym, że może jesteśmy tu właśnie po to, by wymawiać takie proste słowa jak dom, most, fontanna, brama, dzban... drzewo owocowe, okno. Albo, najwyżej: kolumna, wieża. Ale przede wszystkim: dom, drzewo, okno. Powinniśmy powtarzać takie słowa choćby samym sobie.

Ryszard Sawicki, urodzony w Kamiennej Górze, wrocławianin, w latach 1977-1994 mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych. Artysta, pisarz, tłumacz. Ukończył Uniwersytet Wrocławski, bibliotekoznawstwo. **Techniki:** malarstwo sztalugowe, pastele, akwarele, grafika, heliograviura. **Wystawy:** indywidualne i grupowe w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji. **Prace w zbiorach:** Uniwersytet Toruński (Archiwum Emigracji), Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, Carmel Art Association (Carmel, CA). **Publikacje:** eseje, opowiadania, artykuły i wiersze w takich pismach jak: *le Temps Pluriel* (Paryż), *Wiadomości* (Londyn), *Twórczość* (Warszawa), *Zeszyty Literackie* (Paryż-Warszawa), *Format* (Wrocław), *Środa Literacka* (Londyn). **Nagrody:** złoty i srebrny medal za portrety (IPA, Washington, D.C.: 1986, 1987). **Członkostwo:** Carmel Art Association (1993-), International Platform Association (1986-1994). **Wymieniony w:** Polish American Who's Who, Directory of American Portrait Artists.

Złączył nas czas.

Część 1.

Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym, kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem - o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.



Jarosław Abramow-Newerly, fot. Marek Nowicki

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *(Austin, Teksas)*

Z Pana wszechstronną twórczością zarówno poetycką, jak i kompozytorską zetknęłam się podczas spektaklu Salonu Poezji, Muzyki i Teatru Marii Nowotarskiej pt. „Dopóki śpiewam ja” w 2002 r. Do Toronto, które miało stać się moim nowym emigracyjnym domem, przyjechałam w 2001 roku. Jakim więc szczęściem było dla mnie odkrycie, że w Kanadzie są nie tylko wybitni polscy twórcy, ale i polskie gazety. Mając doświadczenie zarówno akademickie, jak i dziennikarskie mogłam natychmiast włączyć się w nurt

twórczości polskiej poza krajem. Spektaklem byłam oczarowana. Znałam wykonywane na scenie w Toronto wielkie przeboje, wiele razy słyszałam je w Polsce, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to Pan jest autorem większości z nich, zarówno tekstu, jak i muzyki. Znamy dobrze wykonawców, bo to z nimi mamy bezpośredni kontakt, a autorów mniej. Jak to jest, kiedy utwór, który się stworzyło, wchodzi na stałe w powszechny obieg, będąc zapisem i ikoną pewnego czasu? Co czuje wtedy autor?

Jarosław Abramow-Newerly: *(Toronto)*

Ilekcroć słyszę, że jestem znanym autorem, to przypomina mi się opowieść mojego Ojca Igora Newerlego, który opowiadał, jak w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku wysyłano pisarzy w teren na wieczory autorskie. I na jednym takim wieczorze w dużej hali fabrycznej organizator tego spotkania, działacz kulturalno-oświatowy zaprezentował Ojca tak: - *Witamy sławnego pisarza*, po czym nachylił do Ojca i szeptem spytał: - *Przepraszam, a jak nazwisko?* Od tej pory z tą pisarską sławą jestem ostrożny.

Ale wracając do Pani pytania w sprawie piosenek to na pewno najbardziej cieszyłem się kiedy usłyszałem w radio moją piosenkę, gdy byłem bardzo młody, jak i teraz kiedy jestem bardzo stary. Miło mi bowiem, że te piosenki wciąż żyją i są śpiewane, chociaż niektóre z nich liczą sobie ponad pół wieku. I ma Pani absolutną rację, że na ogół znamy piosenkę, a nie wiemy

kto ją stworzył. Powiedziałbym nawet, że im piosenka jest bardziej znana tym bardziej staje się własnością ludu i jest anonimowa. Przykładem pieśń harcerska i biesiadna „Płonie ognisko i szumią knieje”. Wszyscy ją znamy, a mało kto wie, że jej autorem jest poeta Jerzy Braun, stryj reżysera i pisarza Kazimierza Brauna.

Pisząc książkę o scenie polskiej w Toronto „Teatr spełnionych nadziei” poznałam też z nagrań wcześniejszy spektakl poświęcony Pana twórczości „Bo ja tak mówiłem żartem” z 1996 r. Jak Pan wspomina te dwa Pana benefisy w Toronto i czym zaowocowały?

Tę Pani książkę uważam za niezwykle cenną. Ocala bowiem pamięć o wspaniałej działalności Marii Nowotarskiej i stworzonego przez Nią Salonu Poezji, Muzyki i Teatru. Maria Nowotarska ułożyła z moich piosenek dwie rewie i wystawiła je niezwykle profesjonalnie. Te spektakle były na tyle udane, że publiczność była pewna, że w tym kształcie przeniesione zostały z jakiegoś teatru w Warszawie, tymczasem było to oryginalne dzieło reżyserskie Marii Nowotarskiej. Jako aktorka brawurowo odśpiewała i odtańczyła moją piosenkę: – *Jestem wiecznie młoda koza, nie mimoza, nie skleroza, chociaż kończę dziewięćdziesiąt dziewięć lat! Do stu lat brakuje roczek, śpiewajco go przeskoczę, ale błagam ja nie lubię takich dat!* Na potrzeby tych rewii napisałem specjalnie walca na koloraturowy sopran Marii

Knapik-Sztramko, która w tej rewii z powodzeniem wystąpiła, a także „Marsza Don Kichotów”, którego sam zaśpiewałem. Tekst tego marsza szczęśliwie zacytowała Pani w swojej książce dzięki czemu ocalał.

„Dopóki śpiewam ja”, słowa i muzyka Jarosław Abramow-Newerly, śpiewa Jerzy Połomski

Polem realizacji Pana talentu zarówno kompozytorskiego, jak i jako autora tekstów piosenek oraz skeczów stał się słynny Studencki Teatr Satyryków - kuźnia talentów, z którym był Pan związany od 1954 do 1969 roku. STS był antidotum na socjalistyczną rzeczywistość, wentylem bezpieczeństwa dla młodych, zdolnych, pełnych pomysłów ludzi. Pana twórczość z okresu STS-u znalazła się w publikacji „Myślenie ma kolosalną przyszłość” (1957).

To była debiutancka książka zawierająca teksty z STS-u moje, Agnieszki Osieckiej, Andrzeja Jareckiego i Witolda Dąbrowskiego. Tytuł pochodził z nazwy jednego z naszych programów i zrobił taką karierę, że stał się potocznym powiedzeniem i zawędrował do książki Henryka Markiewicza i Anrzeja Romanowskiego „Skrzydlate słowa”.

O tym czasie napisał Pan piękną książkę „Lwy STS-u”, w której opowiada Pan o historycznych już postaciach i opisuje wiele bardziej lub mniej znanych wydarzeń. Jakby

teraz, po latach, podsumował Pan to, co dał Panu STS?

STS mnie uformował jako satyryka, kompozytora i aktora. We wczesnej młodości chciałem zostać aktorem. Nawet przygotowywałem się w 1953 roku do egzaminu na PWST razem z moim kolegą ze szkoły Marianem Jonkajtysem. W ostatniej chwili stchórzyłem i nie poszedłem na egzamin. On zdał i został aktorem. Mnie zaś z aktorstwa wyleczył STS. Tam dużo grałem i śpiewałem w naszych operetkach. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że dużo lepiej jest pisać niż występować i mieć wieczory zajęte. Dużo większą satysfakcję dawało mi siedzenie na widowni i obserwowanie reakcji publiczności na moje utwory. Teatr jest okrutnym weryfikatorem tekstu. I albo publiczność klaszcze i się śmieje, albo milczy i chrząka ze znudzenia. Dzięki STS-owi uwierzyłem we własne siły. Odnalazłem własną wartość i przestałem być tylko synem sławnego Ojca. Podpisywałem się Abramow i nikt nie wiedział, że słynny pisarz Igor Newerly to mój Ojciec.

Mówił Pan, że mama miała talent muzyczny, a tata pisarski. Tata opowiadał Panu bajki, a mama śpiewała. Czy z domu wyniósł Pan tę wszechstronność?

Na pewno zdolności muzyczne odziedziczyłem po swojej Mamie. Ona była przed wojną nauczycielką śpiewu i główną śpiewającą aktorką kukiełkowego Teatru „Baj”. Jeszcze jak byłem w wózku

wspiewywała we mnie różne piosenki. Bardzo się zdziwiła, kiedy nagle, jeszcze nie mówiąc, powtórzyłem za nią znaną biesiadną piosenkę „Za dzień, za rok, za chwilę razem nie będzie nas”, pohukując w takt słów „uu uu uuu, uuuuu bu!”



Mama, pani Basia - Barbara z Jareckich, fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

Mając pięć lat ułożyłem pierwszy swój utwór muzyczny „Galop koni” Opus 1, słowem zapowiadałem się na Mozarta. Niestety miałem bardzo duże kłopoty z czytaniem i pisaniem nut. I nic z tego nie wyszło. Ale miłość do pisania piosenek pozostała. I rozkwitła właśnie w STS-e. Co śmieszniejsze do STS-u zaproszony zostałem jako kompozytor. Napisałem wtedy do tekstu wydrukowanego w „Po prostu” walca „Na UW, na UW, na

UW - chcesz coś dostać, musisz postać dłużej tu!", który był śpiewany przez naszą studencką polonistyczną grupę. Na jakiejś wieczornicy podszedł do mnie Marek Lusztig i powiedział: - *Słyszałem, że skomponował kolega walca. Może przyjdzie kolega na próbę do naszego Studenckiego Teatru Satyryków.* I tak w marcu 1954 roku dołączyłem do grupy STS-u przyprawdzając ze sobą z kolei moich przyjaciół z polonistyki Andrzeja Jareckiego i Witolda Dąbrowskiego. Na pewno to, że zostałem kompozytorem w dużym stopniu zawdzięczam naszemu niezapomnianemu kierownikowi muzycznemu Markowi Lusztigowi, który tych moich amatorskich kompozycji nie wyśmiał, tylko poważnie potraktował. Dzięki Niemu uwierzyłem w swoje kompozytorskie możliwości i z radością komponowałem piosenki i operetki. Miałem wrodzony dar układania chwytliwych melodii. Byłem jednak tak zwanym kompozytorem gwizdany. Tego określenia zwykł używać Władysław Szpilman, z którym jako literat pracujący w radio, zasiadałem w komisji oceniającej nadsyłane piosenki. Szpilman siadał do pianina i przegrywał zgłoszoną fortepianówkę. Jak była napisana z błędami zwykł mawiać: - *To jest kompozytor gwizdany. Musi się trochę jeszcze pouczyć* - i dyskwalifikował utwór.

W 1961 roku napisałem dla STS-u muzykę do przedstawienia „Oskarżeni” Andrzeja Jareckiego i Agnieszki Osieckiej. W sumie dwanaście piosenek, które brawurowo zaśpiewali Alina Janowska i Wojciech Siemion. Z „Oskarżonych” pochodzą takie znane

piosenki jak „Widzisz mała jak to jest”, „Polka kryminalna” czy „Ballada o Chmielnej” Agnieszki Osieckiej. Zaprosiłem na premierę Władysława Szpilmana. Po przedstawieniu uścisnął mi rękę i powiedział: - *No, panie Jarku. Muzyka się Panu udała. Gratuluję.* - *To właśnie ja jestem tym kompozytorem gwizdany, panie Władysławie* - odparłem. Szpilman się zaśmiał i powiedział: - *Czasem zdarzają się wyjątki.*



Jarosław Abramow-Newerly z Agnieszka Osiecką, w głębi w głębi aktor Marian Kubera, fot. Sławomir Biegański, z arch. J. Abramowa-Newerlego.

Pana doświadczenie jako satyryka zaowocowało powstaniem szeregu jednoaktówek, spektakli teatralnych, słuchowisk radiowych, sztuk pisanych dla Teatru Telewizji. Poruszał w nich Pan problemy mitów społecznych, przemian obyczajowych, konfrontację tradycji z nowoczesnością. Pana sztuki takie jak „Derby w pałacu”, „Darz bór”, „Słowik Warszawy”, weszły już na stałe do kanonu literatury polskiej. Za sztukę „Anioł na dworcu” otrzymał pan nagrodę im. S. Piętaka (1965) i nagrodę fundacji im. Kościelskich (1967). Kazimierz Braun przypomniał, że reżyserował Pana sztukę „Żaglowce, białe żaglowce” w 1970 r. w doborowej obsadzie (Fijewski, Zaczyk, Rudzki) w Teatrze Telewizji, a potem sztukę „Klik, klak” w 1973 r. teatrze w Lublinie.

Oglądałem niedawno „Żaglowce, białe żaglowce” w finezyjnej i doskonałej reżyserii Kazimierza Brauna. Znakomicie tę sztukę obsadził. Przypomnę, że sztuka ta dotyczy spotkania po latach kolegów z jednej klasy, a ściślej dwóch przyjaciół. Głównego bohatera, w którego eleganckim mieszkaniu odbywa się to spotkanie, przezywanego w szkole Gruchą oraz prymusa klasy Jędrusia Górniaka. Pierwowzorem „Żaglowców” był skecz z STS-u „Zjazd koleżeński”. W skeczu tym i w sztuce pada kwestia. Jeden z byłych uczniów rozgląda się po klasie i mówi: – *Coś mało nas, kurka wodna*. Wtedy w skeczu to był żart. Teraz po latach smutna prawda. Czołowy aktor STS-u Ryszard Pracz do dziś lubi

to zdanie powtarzać na wszystkich zjazdach STS-u. Ze znakomitej obsady „Żaglowców” żyją już tylko trzy osoby – ja, Kazimierz Braun i Irena Szczurowska, która była wtedy młodą, piękną dziewczyną. W tym spektaklu starego profesora Puchaczewskiego, przezywanego Puchaczem zagrał wielki polski aktor Kazimierz Opaliński. Miał on niezwykły dar w prosty sposób wywoływać wzruszenie.

Była to wtedy ostatnia jego rola w telewizji. Byłem na nagraniu tego spektaklu. Wówczas aktorzy grali na żywo i jak ktoś się pomylił, to trzeba było zaczynać od początku. Opaliński w swojej kwestii się pomylił i aktorzy musieli zacząć grać od nowa. Uczynili to bez szemrania z wielkiego szacunku dla swojego starszego kolegi, uznanego za swego mistrza. W pewnym momencie stary Puchacz wywołuje do tablicy byłego ucznia, obecnie majora Ludowego Wojska Polskiego i zaczyna pytać o lewe dopływy Wisły. Ten oczywiście nie pamięta. – *Lewe?* – próbuje zagadywać. – *Tak lewe* – odpowiada profesor. – *Ale licząc od gór czy od morza? To znaczy od dołu czy od góry?* – *Jak ci wygodnie. Byle były wszystkie* – mówi profesor. Rolę tę wybornie zagrał Henryk Borowski. Stał z baranią miną i strzygł uchem jak koledzy w ławkach mu podpowiadają. Najgłośniej podpowiadał obecny ksiądz, którego profesor musiał uciszyć. Księdza tego grał Lech Ordon, aktor o niezwykle dobronudszym wyglądzie. Ilekroć się z Ordonem po latach spotykałem to zawsze wspominał: – *Pamięta Pan nasze „Żaglowce”? To była sztuka!* –

wykrzykiwał.

Jedynym uczniem pamiętającym zasady moralne, których uczył stary Profesor był Jędrus, prymus klasy, którego wyśmienie zagrał Tadeusz Fijewski. - *Kim jesteś teraz, Jędrus?* - pyta wzruszony profesor. - *Trzymam taksówkę, panie profesorze* - odpowiada Fijewski z bolesną miną. Dla Kazimierza Rudzkiego, który grał adwokata i u kolegi dyrektora generalnego, wysokiego działacza partyjnego, szukał poparcia, żeby wstąpić do Zbowidu, czyli Związku Kombatantów, musiałem dopisać rolę, bo nie chciał wystąpić w epizodzie. Cenzura nie puściła Zbowidu i musiałem go zastąpić Polskim Związkiem Kajakowym. Chciałem, żeby ten wysoki działacz partyjny był ministrem, ale to wówczas było niemożliwe. Nie mniej Witold Kałuski doskonale zagrał takiego zadowolonego z siebie dygnitarza.

Prawdziwą kreację w „Żaglowcach” stworzył Adam Mularczyk, aktor o diabolicznym wyglądzie i charakterystycznym głósie, który wślawił się rolą konia w pamiętnym przedstawieniu „Czekając na Godota” Samuela Becketta w reżyserii Jerzego Kreczmara w Teatrze Współczesnym w Warszawie oraz rolą Profesora Pęduszki w Radiowym Teatrze „Eterek” Jeremiego Przybory. Adam Mularczyk w pewnym czasie zrezygnował z aktorstwa i wraz żoną, naukowcem wirusologiem Zofią Wróblewską, koleżanką z pracy mojej Żony Wandy w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie, wyemigrował do

Ameryki i osiadł w klasztorze Częstochowa pod Filadelfią. Tam założył teatr. Podczas okupacji pracował w teatrze razem z Karolem Wojtyłą.

Adam opowiadał mi, że jak kardynał Wojtyła przyjechał do Filadelfii i spotkali się razem, to przyszły papież wykrzyknął: - *Adam! Ty tu?* - *A ja odkrzyknąłem: - Lolek! Ty też tu?* - i rzuciliśmy się sobie w ramiona. Jeden z zakonników, który bardzo dokuczał w pracy Adamowi podszedł do niego i spytał z podziwem: - *Pan zna kardynała?* - *A ja odwróciłem się do niego i powiedziałem dwa słowa: - „Odpierdol się”!*

Adam był bardzo żywiołowy i dowcipny. Teraz gdy oglądałem ten wspaniały spektakl to nie mogłem się nadziwić jak głęboko poruszyliśmy z Braunem problem czasu. Byliśmy obydwaj młodzi, mieliśmy po trzydzieści parę lat i na własnej skórze nie przeżyliśmy problemu starości, o którym mówił profesor do swoich uczniów: - *Po coście tu przyszli. Złączył was czas! Ten największy hycel. Przeglądacie się jeden w drugim i sprawdzacie czy jeszcze żyje.*

W puencie sztuki taksówkarz Jędrus mówi do swojego kolegi, głównego bohatera: - *Zastanów się, Grucha, dlaczego ty zrobiłeś karierę, a ja nie!?* I to jedno zdanie cenzura kazała mi wykreślić. Pojechałem do telewizji. Przyjęła mnie bardzo serdecznie dyrektor Teatru Telewizji Irena Bołtuć i w bardzo oględny sposób

prosiła, żebym to zdanie usunął. - *Ależ pani Ireno? Bez tego zdania nie ma mojej sztuki!* - broniłem się. - *Ja świetnie rozumiem. Ale taki nakaz mamy z góry!* - argumentowała. W końcu doszło między nami do ugody i zostało skreślone jedno słowo, mianowicie „Nie”. Ale Fijewski tak to świetnie zagrał i machnął z rezygnacją ręką, że dla wszystkich było jasne dlaczego nie zrobił kariery w PRL. Był synem aptekarza w przeciwieństwie do Gruchy, Stanisława Zaczyka, który miał doskonałe pochodzenie społeczne. Dziś sądzę, że to jedno końcowe zdanie Irena Bołtuć puściła na własną odpowiedzialność. Wiem też, że po nadaniu spektaklu miała przykrości. Mianowicie zaprotestowało Ludowe Wojsko Polskie twierdząc, że w sztuce ośmieszyłem polskiego oficera.

Jarosław Abramow-Newerly, „Żaglowce, białe żaglowce”, reż Kazimierz Braun, 1970 r., Teatr Telewizji

Tak długo rozgadałem się o „Żaglowcach”, bo uważam ten spektakl za jeden z najlepszych w moim życiu i dziękuję za niego Kazimierzowi Braunowi. Potem w 1972 roku spotkaliśmy się razem w mojej sztuce „Klik-Klak”, którą Kazimierz Braun wyreżyserował jako dyrektor Teatru imienia Juliusza Osterwy w Lublinie. Warto przypomnieć, że z jego inicjatywy przystąpiono w Lublinie do budowy nowego gmachu teatru.

Po wystawieniu w stanie wojennym głośnego spektaklu „Dżuma” według książki Alberta Camusa Kazimierz Braun został

pozbawiony dyrekcji Teatru Współczesnego we Wrocławiu i wyemigrował wraz z rodziną do Stanów Zjednoczonych. Tu został profesorem na Uniwersytecie w Buffalo. I szczęśliwy los zetknął go z Marią Nowotarską i Agatą Pilitowską, dla których napisał wspaniałe sztuki teatralne. „Helenę - rzecz o Modrzejewskiej”, „Tamarę L” o słynnej polskiej malarce Tamarze Łempickiej, dalej sztukę o Marii Curie-Skłodowskiej i aktorce Poli Negri, słowem o Polkach emigrantkach, które zrobiły światową karierę. Jednocześnie stał się na emigracji moim kolegą dramaturgiem. Dziwny los sprawił, że ja w Kanadzie z dramaturgiem przerodziłem się w prozaika, a on z reżysera w dramaturgiem.

31 stycznia 2021 roku odbyło się spotkanie z Jarosławem Abramowem-Newerlym przez platformę Zoom w ramach Klubu Historyka Austin Polish Society w Teksasie. Obecny wywiad utrwała oraz uzupełnia to, o czym rozmawialiśmy podczas spotkania (Joanna Sokołowska-Gwizdka).

Część 2:

Złączył nas czas. Część 2.

Zobacz też:

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

„Fryzjerka. Na pokuszenie losu” – fragment książki

Danuta Błaszak (*Floryda*)



Fot. Jill Wellington z Pixabay

13 listopada, środa. U mamy na Bielanach

Nie podejmuj pochopnych decyzji. Zadzwoń i powiedz przepraszam. Zerwiesz z panem Romualdem i jak sobie poradzisz? - mama Jolki była wyraźnie zdenerwowana. - Z czego zapłacisz rachunki?

- Dlaczego z nim zrywasz? - dociekała ciocia Roma. - Może to jeszcze da się naprawić.

Jolka Kuźmicka, 32-letnia wysoka blondynka, przyszła pomóc swojej mamie w porządkach. Ciemny blond ze złotymi

pasemkami, profesjonalnie zrobiona fryzura. Jolka: wąskie biodra, drobne piersi, a z tyłu zaokrąglone pośladki. Dość duża miękka pupa, jakby trochę nie pasowała do tego, co z przodu.

Mieszkanie już lśniło czystością. Dwa małe pokoiki i znacznie większy salonik, w którym teraz kończyła sprzątanie. Pozostał jeszcze duży wełniany dywan w tureckie wzory. Mieszkanie umeblowane niekonsekwentnie, można powiedzieć, że z brakiem gustu. Przy ścianach regały z książkami pochodzące jeszcze z czasów, kiedy ludzie chcieli mieć w domu książki. Grubo ciosane drewniane półki obok meblościanki „Kowalskiego”. Z sufitu opadał duży żyrandol z kryształowymi wisiorami, piękny, jak z dawnych królewskich pałaców. Szesnaście punktów oświetleniowych, małych żaróweczek, i mosiężne ramiona też lśniły czystością. Mieszkanie było dość wysokie jak na postkomunistyczne budownictwo, a projekt żyrandola był przygotowany na sale pałacowe i dziadek Jolki wiele lat temu musiał skrócić, a może odciąć, długi złoty łańcuch, który pierwotnie łączył żyrandol z sufitem.

Jolka włączyła odkurzacz.

W telewizji powtarzali reportaż z wiosennych pokazów lotniczych. Na dużym ekranie płaskim jak ściana kolorowe balony, samoloty ze smugami dymu, spadochroniarze trzymający się za ręce... Nikt tutaj tego nie oglądał. Matka lubiła, żeby

telewizor był włączony i rzadko zmieniała kanały.

Nawet w tym hałasie, przy warkocie odkurzacza i głośnej muzyce dochodzącej z telewizora, słowa matki docierały do niej z przeraźliwą wyrazistością.

- Jak żył twój ojciec, wódka była na stole, nie pieniądze. Chciałabym, żebyś potrafiła docenić to, co robi dla nas pan Romuald - powiedziała mama.

To było za mocno powiedziane i ciocia Roma, która siedziała do tej pory cicho w fotelu, musiała zareagować.

- Stefa, ty na świętej pamięci Xawerego nie wygaduj takich rzeczy. Nie potrafił zarobić, i zawsze było u was krucho z pieniędzmi, ale pijakiem nigdy nie był.

- Przypomnij sobie, Romka, jego kolegów. Wymiotowali do naszej wanny. Jeszcze teraz emalia odchodzi w tych miejscach, gdzie próbowałam odkazić chlorem.

- To było okazyjnie - sprostowała ciocia. - Co innego niż być pijakiem. Pili okazyjnie, a wymiotowali tylko raz. Ten bimber, który załatwiła Kwietka, pochodził z niepewnego źródła.

- No tak - zgodziła się mama. - Bimber nie był z Łomianek, tylko

z jakiegoś innego miejsca.

- I myśmy też wtedy chorowały - dodała ciocia. - Pamiętam, parzyłaś herbatkę miętową. Nawet ty piłaś, Stefa, chociaż bierzesz te swoje pigułki i lekarz mówi, że nie powinnaś.

Jolka pomyślała, że nigdy w życiu nie знаła żadnej pani, kóra nazywała się Kwietka i załatwiała bimber, ale to może było dawno, jak jeszcze była dzieckiem. Nie zapytała, to nie było ważne.

Jolka bała się zostać bez pieniędzy i to wydawało się teraz najważniejsze. Jej „narzeczony”, jak czasem mówiła mama, albo po prostu pan Romuald, umiał się zachować. Zawsze, kiedy odwiedzał Jolkę, gdy mieszkała razem z mamą, i potem też, kiedy już miała własne niespłacone mieszkanie, wyrażał zrozumienie dla ciężkiej sytuacji finansowej i zostawiał na stole kilka banknotów. Przy każdej jego wizycie obie rzucały spojrzenia niecierpliwie na ten róg stołu, gdzie, wiedziały, pojawią się pieniądze.

Skok spadochronowy z samolotu, tandem z obcym instruktorem

Jakub zostawił ją na lotnisku i pojechał do pracy. Trzeba dbać o

kontrakty zagraniczne i te inne też, wiadomo, jeśli człowiek jest odpowiedzialny i rzetelnie wypełnia swoje obowiązki zawodowe.

Skok w tandemie. Jolka czekała na swoją kolej. Pomimo napięcia, które gdzieś tam w środku ją roznosiło, z jakiegoś niewiadomego powodu polubiła tę atmosferę na strefie, ludzie byli sympatyczni, wyluzowani - z wyjątkiem tych, co czekali na tandem..

- Po co mi ten tandem? A co jak spadochron się nie otworzy, co jak samolot się rozbije po starcie? Może będzie wiało i odwołają skoki?

Takie myśli chodziły jej po głowie.

Usłyszała jak ktoś wykrzykuje jej imię. To był jej instruktor. Podeszła bliżej, przyjrzała mu się dokładnie. - Więc to z nim przyjdzie mi umrzeć? Jak mam zginąć to przynajmniej w towarzystwie przystojniaka. Co ja wygaduję, nikt nie umrze, skup się, słuchaj co on mówi!

Instrukcje, co robić w czasie lotu w tandemie były klarowne. Miała szczęście, jej instruktor miał poczucie humoru, to odgoniło jej negatywne myśli.

- Widzisz tę uprząż? Jest lepsza o tych, co niektórzy mają w sypialni. Mrugnął okiem. Natychmiast wyobraziła sobie i Jakuba,

w duchu się uśmiechnęła.

Bała się, że w czasie lotu będzie czuła, że żołądek podchodzi do gardła, że spada...

- Będziesz się czuła, jakbyś leżała na miękkim materacu z powietrza - ktoś powiedział.

Samolot wznosił się w powietrze, odliczała minuty, miała wrażenie, że trwa to wieki.

- Wcale mi się nie śpieszy, tak sobie tu posiedzę, popatrzę przez okno...

Kamerzysta ustawiał kamerę. Pomyślała:

- Jak będzie wyglądał wymuszony uśmiech na przerażonej twarzy?

Nagle dźwięk silników, huk powietrza przerwał zadumę, ktoś otworzył drzwi od samolotu. Zobaczyła samodzielnych skoczków, jak z radością opuszczają samolot, niektórzy robili salta.

- To wygląda jak świetna zabawa!

Instruktor po raz kolejny sprawdził uprząż, naciągnął paski,

klamry. Przesuwali się w kierunku wyjścia.

Kamerzysta czekał na zewnętrznym stopniu samolotu, gotowy do skoku. Stanęli w drzwiach.

Spojrzała w dół. Nie czuła lęku wysokości, ziemia wyglądała jak na pocztówce. Serce biło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej.

- Więc to jest moje być albo nie być. Taka będzie moja śmierć. Nie, właśnie że nie umrę!

Instruktor coś do niej mówił, ale niewiele do niej docierało.

Czy chcę fikołka na wyjściu? Nie zdążyła pomyśleć, a jej ciało było w powietrzu i robiło obrót.

Najpierw był „free fall” - lecieli bez otwartego spadochronu. Minęło kilka dobrych sekund zanim ‘odzyskała’ władzę nad swoim ciałem. Zaczęła sobie przypominać instruktaż:

- Kolana zgięte, ciało wygięte w łuk, tak, chyba tak to miało być.

Przed nimi był spadochroniarz z kamerą. Był bardzo blisko, wyciągnął do niej rękę, robił śmieszne miny. Zaczęła się śmiać, znaczy próbowała, pęd powietrza jej tego nie ułatwiał.

Jej instruktor też miał kamerę przyczepioną do nadgarstka.

Instruktor otworzył duży kolorowy spadochron. Pozwolił jej sterować, to znaczy pozwolił, żeby zrobiła samodzielnie powoli i ostrożnie dwa małe zakręty. Wylądowali miękko na trawie. Wiatr zaczął szarpać tkaninę i szybko podbiegli jacyś spadochroniarze, żeby pomóc.

Przepełniona radością, szczęśliwa, że żyje, bezwiednie uściskała instruktora. Czowała się jak bohater o super odwadze. Zadanie zaliczone, to tyle. Nigdy więcej.

Potem kupiła dla wszystkich skrzynkę piwa i czekała, aż przygotują wideo z jej lotu. Przysiadło się do niej dwóch spadochroniarzy z Hawajów. Próbowali ją postraszyć.

- Nie zawsze skok w tandemie jest bezpieczny.

Opowiedzieli o instruktorze hawajskim, który dostał zawału w czasie lotu. Był silny wiatr i zniósł tandem na morze. Jego pasażerka utonęła. Najczęściej tandemy są bezpieczne, bardzo rzadko zdarza się coś takiego. Ktoś jeszcze opowiedział o dziewczynie, która wysunęła się z upręży i zginęła twardo uderzając ziemię. Zaraz potem jakaś odważna kobieta kupiła skok w tandemie na swoje osiemdziesiąte urodziny i też wysunęła się z upręży w podobny sposób, ale instruktor

zorientował się i w ostatniej chwili złapał ją za nogę. Jolka już by się nie wysunęła, bo po tych wypadkach nakazano wszyć do uprząży grubą taśmę w poprzek tej dziury, przez którą obie panie się wysunęły.

Wideo z jej skoku było gotowe. Oglądali wszyscy i czuła się cudownie.

Jakub dołączył do nich zaraz na początku filmu.

Były też piękne zdjęcia z jej skoku, oglądali wspólnie, a potem poprosili, żeby ktoś zrobił ich zdjęcie: Jolka i Jakub pod palmami. Pierwsze wspólne zdjęcie na Fejsbook. Co powiedzą ludzie, że oni są razem, przeleciało jej przez głowę, ale tyle się działo, że opinia ludzka mało się teraz liczyła. Na wszelki wypadek, zanim zdjęcia zostały zrobione, pobiegła z torebką do łazienki. Szybkim sprawnym ruchem wymodelowała włosy. Przeciągnęła usta pomadką.

Cycki, muszę poprawić cycki, one też muszą dobrze wyglądać! Ułożyła piersi w staniku, naciągnęła dekolt i wyszła.



Fot. krzysztof niewolny z Pixabay

Na złe dni, na świt, który trudno rozwiązać... Może kurs paralotniowy? Startuje się pod wiatr.

Ojciec Titki, jak tylko wyjęły bagaże z samochodu, włączył silnik, mocno dodał gazu i odjechał. Był spóźniony.

Instruktor Hubert stał przy swoim samochodzie zirytowany tym, że przyjechali tak późno.

- Pośpieszcie się dziewczyny, bo zaraz zrobi się ciemno - mruknął.

Titka wzruszyła ramionami i pobiegła gdzieś z telefonem.

Instruktor Hubert przypiął Jolce paralotnię. Rutyna, nerwowe, szybkie ruchy. Uniósł lekko skrzydło, ustawił do wiatru. W ostatniej chwili zapięła kask. To było za prędko. Nawet nie zdążyła zmienić butów. Miała na sobie eleganckie pantofle, które ślizgały się po śniegu. Ale to był dobry start. Pod wiatr, jak trzeba.

Poleciała wysoko. Skrzydło drżało, łapało turbulencje. Myślała, żeby dodać sobie odwagi, że to przecież szkolna paralotnia, taka do uczenia początkujących i że nic jej się nie stanie. Ręce w górze i nie bać się, przypominała sobie słowa Jakuba. Myślała o nim. Wcale się nie pogniewał. Chorował. Tak jak ona. Góry były piękne, ostre szczyty w oddali i zalesione zbocza tu blisko.

Spojrzała w dół. Jacyś ludzie podchodzili pod górę i patrzyli na nią. Chciała im pomachać, ale była tak wysoko, że nie mogliby tego zobaczyć.

Potem poczuła spokój i pomyślała, że niebo jest zawsze jakieś święte i błogosławione, niezależnie od religii, jaką się wyznaje.

Świerki były teraz ciemnozielone. Utraciły czapy śniegu. Była w niebie.

Przeleciała wysoko ponad polaną, na której planowała wylądować. Dopiero teraz zbliżała się do ziemi. Dalej był las. Przypomniała jej się ta część szkolenia, która mówiła o lądowaniu awaryjnym na drzewie.

Zobaczyła potok z piaszczystym brzegiem, pełnym małych kamyczków, z których woda splukała śnieg. Ostrożnie wykonywała manewry.

I kiedy już stała na ziemi, chciała śpiewać ze szczęścia.

Pantofle nie ślizgały się, gdy lądowała na piasku, ale po śniegu trudno było iść. Pamiętała kierunek – do góry i potem koniecznie w lewo.

Odpięła parolotnię i zarzuciła na jedno z niższych drzew. Jeśli będą jej szukać, prędzej wypatrzą kolorową parolotnię, niż ją gdzieś tam w lesie. Pod kolorową tkaniną tańczyły linki, jakby tysiąc pajaków wyginało długie ramiona.

Słońce zbliżało się ku zachodowi i zaczynało robić się zimno. Wiedziała, że musi iść. Nie wolno usiąść ani na chwilę, żeby nie zamarznąć.

Zdawało jej się, że widziała wilka skradającego się za drzewem. – Sen mara, Bóg wiara, powiedziała do siebie.

Pomoc nadeszła w postaci małego śmigłowca, który wylądował w tym samym strumieniu. Widocznie to było najlepsze miejsce do lądowania w tej okolicy. Wiatr, który zrobiło śmigło, uniósł parolotnię zawieszoną na drzewie. Dobry pilot, pomyślała. Nie wplątał się w linki, bo wtedy oboje potrzebowaliby pomocy.

Ze śmigłowca wyskoczył mężczyzna. To był Jakub. Co on tutaj robi?

Wilk wyszedł zza krzaka i zbliżał się w ich stronę.

- Tu są wilki. Uważaj.

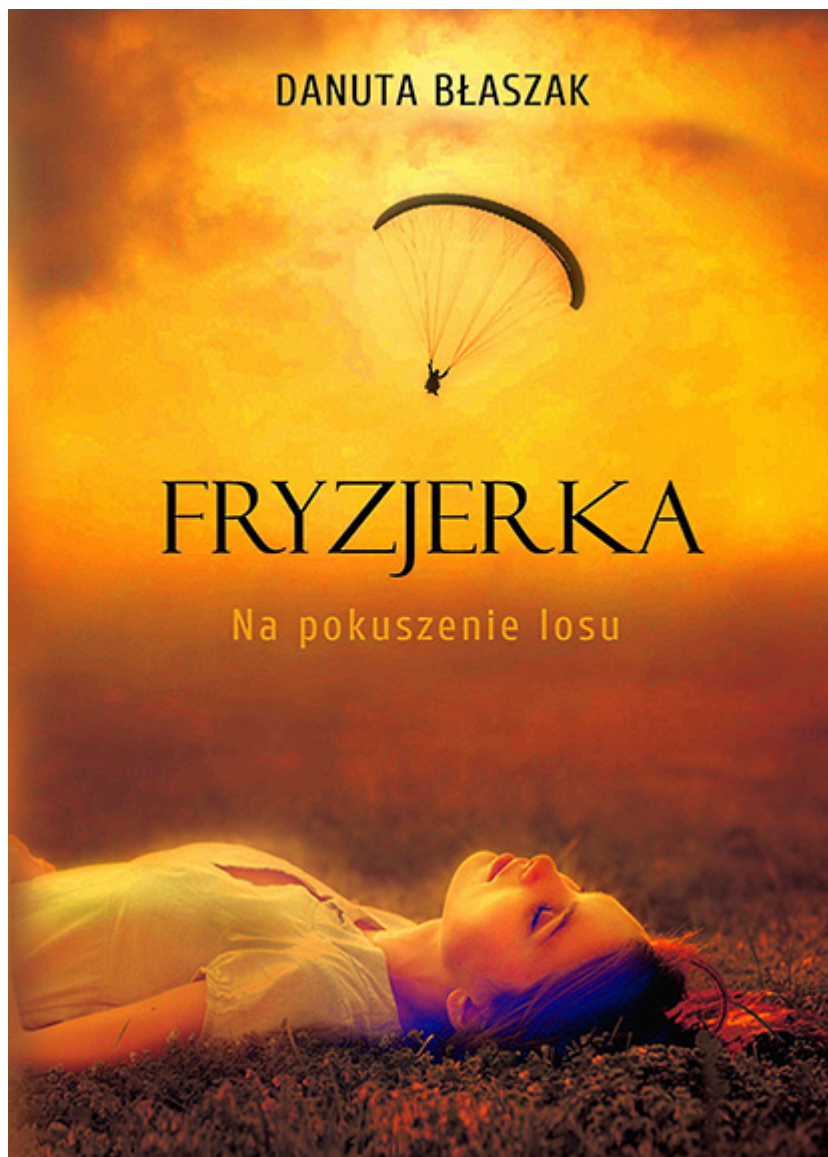
- Nie bój się - powiedział Jakub. - To nie wilk. To pies mojej siostry.

Pogłaskał psa. Pomyślała, że ją też mógłby pogłaskać, albo coś bardziej po ludzku.

- Jesteś sama? - zapytał. - Na pewno zerwałaś z tym idiotą?

- Czy zawsze zaczynasz akcję ratunkową od takich pytań?

Danuta Błaszak, Fryzjerka. Na pokuszenie losu, wyd. Norbertinum 2021 r.

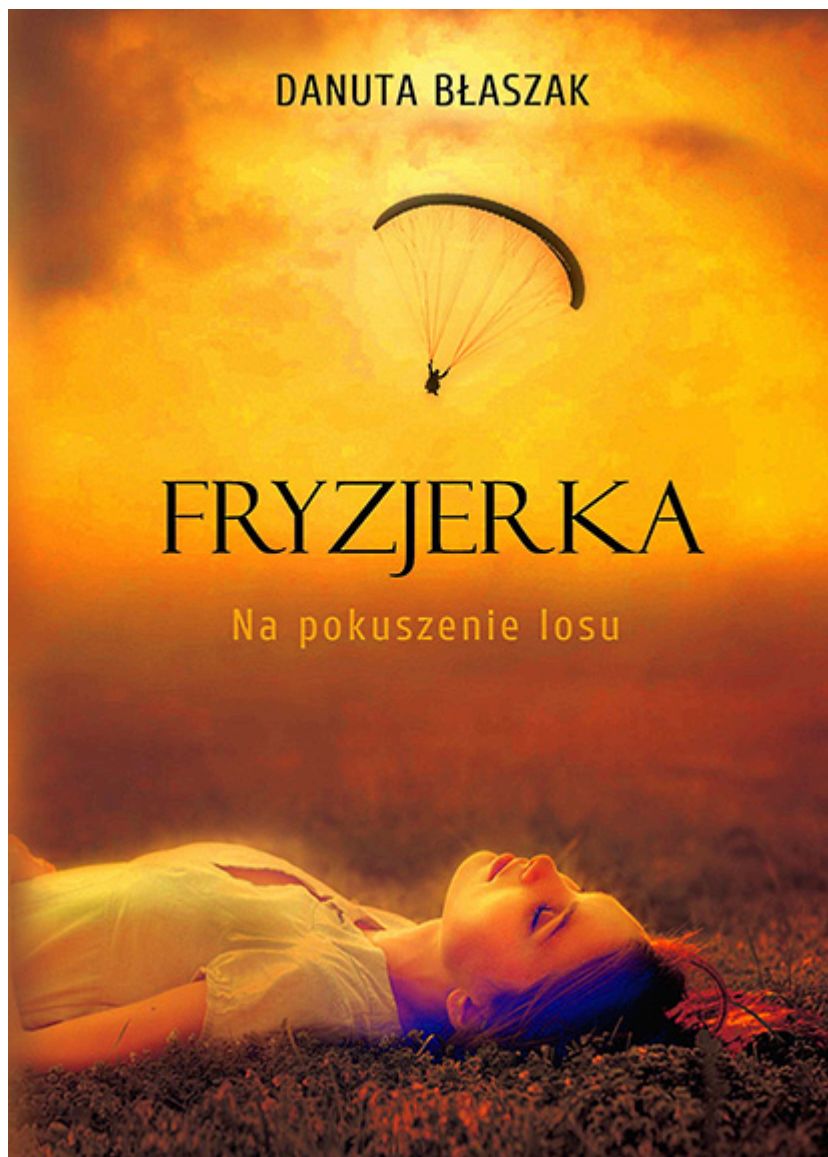


http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjyfyLUxx_OMAs

Recenzja:

„Fryzjerka” Danuty Błaszak

„Fryzjerka” Danuty Błaszak



Zbigniew Mirosławski (*Tarnów*)

Powieść pt. *Fryzjerka. Na pokuszenie losu* Danuty Błaszak została wydana przez szacowną, lubelską Oficynę NORBERTINUM, działającą od 1989 r., a w ofercie reklamującą się m. in.: poezjami ks. Janusza Pasierba pt. *Blask cienia*, tomem pt. *Chmura*, o Leonie Zdzisławie Stroińskim pióra Hanny Zofii Etemadi czy książką Anny Marii Mickiewicz, *Londyńskie bagaże literackie*.

Do sięgnięcia po tę pozycję zachęcają nie tylko: nazwisko autorki, Danuty Błaszak, dziennikarki, edytorki, poetki, tłumaczki i działaczki polonijnej z Florydy, także piękne i staranne wydanie, szata graficzna według projektu Agnieszki Herman. Na okładce zamieszczono graficzną zapowiedź tego o czym przeczytamy: są to unosząca się w powietrzu paralotnia, leżąca na trawie, rozmarzona dziewczyna, szybująca wyobraźnią w przestworzach. Ciepłe, miodowe barwy.

Na stronie ostatniej *résumé*, z którego wyjmuję kilka zdań na temat głównej bohaterki, fryzjerki Joli. Brzmi banalnie, ale intryga wciąga niepostrzeżenie, bo narracja jest dynamiczna i ciekawa. Przeczytamy

Jolka zdecydowanie zmienia swoje życie. – Już nigdy nie wezmę pieniędzy od mężczyzny – deklaruje. Zrywa z kochankiem i dotychczasową rutyną. Odważnie wywraca wszystko do góry nogami.

Faktycznie uzależnienie od żonatego Romualda, chorującej matki i faktycznych i „przyszywanych” ciotek, Stefy, Romy i Kwiety zdaje się tworzyć splątanie, trudne do odcięcia się od tych toksycznych związków. Relacja z koleżanką z pracy Michaliną jest ważna ale również podlega wahaniom, kiedy pojawiają się młodsze ubiegające się o pracę, Kasia i Mela.

Nie ujawniając zbyt treści trzeba zauważyć zarysowanie wyraźnych charakterów i starszych i młodszych kobiet, w tym Titki i Kitki, także panów Huberta i Jakuba. Pewną rolę odgrywa również przypadkowy tzw. łut szczęścia, a konkretnie wygrane uczestnictwo w kursie paralotniarskim.

Niezbyt często w życiu spotykamy się z taką odwagą rzucenia się w nieznaną. Przypuszczam, że lektura powieści może uskrzydlać i dawać nadzieję iż niekorzystne „układy” można zmienić. Liczy się determinacja, pasja przynosząca radość i wytchnienie od codzienności.

Nowe spojrzenie na samą siebie, uwalnia energię. Nawet kłopoty finansowe, wysoki kredyt mieszkaniowy do spłacania nie zatrzymają Joli w realizacji marzeń. Recenzent NORBERTINUM stawia pytania „...Czy wrażliwa, delikatna dziewczyna poradzi sobie z wyzwaniem, przed którym samą siebie postawiła? Czy będzie umiała zgodzić się na miłość, jakiej dotąd nie znała?...”.

Oryginalną dygresją jest wspomnienie przez autorkę, w imieniu swojej bohaterki Joli, znanych poetek: Anny Marii Mickiewicz, Agnieszki Jarzębowskiej i... samej współpracującej z Danutą Błaszak poetki i autorki projektu okładki tej książki Agnieszki Herman.

Innym aktualnym wątkiem jest nadchodząca i rozwijająca się

pandemia. Refleksje na temat przebiegu zakażenia koronawirusem. Obecnie czyta się to inaczej niż miejmy nadzieję za parę lat. Kwestia ta jednak pozostanie rodzajem dokumentacji trudnych lat 2020 i 2021.

Dla zainteresowanych lataniem interesujące mogą stać się opisy kursu paralotniarskiego, zajęć z meteorologii, lotów helikopterem i skoków spadochronowych w tandemie i indywidualnie. Zwłaszcza tych na Florydzie nad Sebastian River, w Zephyrhills.

Warszawianka, Danuta Błaszak, wraz z rodziną wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, mieszka w Orlando. Pisze o tym na czym zna się bardzo dobrze. Sama jest pasjonatką latania, skoków na spadochronie, paralotniarstwa. Od wielu lat zajmuje się promocją polskiej kultury. Prowadzi literacką stronę **miasto literatów ++** i we współpracy ze wspomnianą już dwukrotnie w tym tekście Anną Marią Mickiewicz z Londynu wydaje serię wydawniczą *Contemporary Writers of Poland*. Jest to seria dwujęzyczna, polsko-angielska. Trzeba wyrazić nadzieję, że pisarstwo Danuty Błaszak nadal będzie się rozwijać. Za sobą ma już publikacje w *Radarze* na łamach którego od 1986 r. pisała recenzje i informacje z plenerów literackich. Wydała tomiki: *Wiersze, Tereska ze smutnego raj* (1995); *Anegdoty liryczne* - tomik wydany przez NZS, NURT, w drugim obiegu, 1989. W dorobku posiada również książki reportażowe: *Plotki z Florydy z*

przedmową Marka Kasza (WKMS 1993); *Seks przez telefon - wywiad z dziewczyną z 0700* (IbiS); *Group Home Recollections* - Bianka B. Bird (Dreammee Little City 2014); *Notatnik z autyzmu* - o ośrodku pomagającym ludziom dorosłym z autyzmem (Dreammee Little City 2005); oraz tomiki wierszy, m. in.:
Otrzymała wiele nagród, medale i wyróżnienia.

Danuta Błaszak

Fryzjerka. Na pokuszenie losu

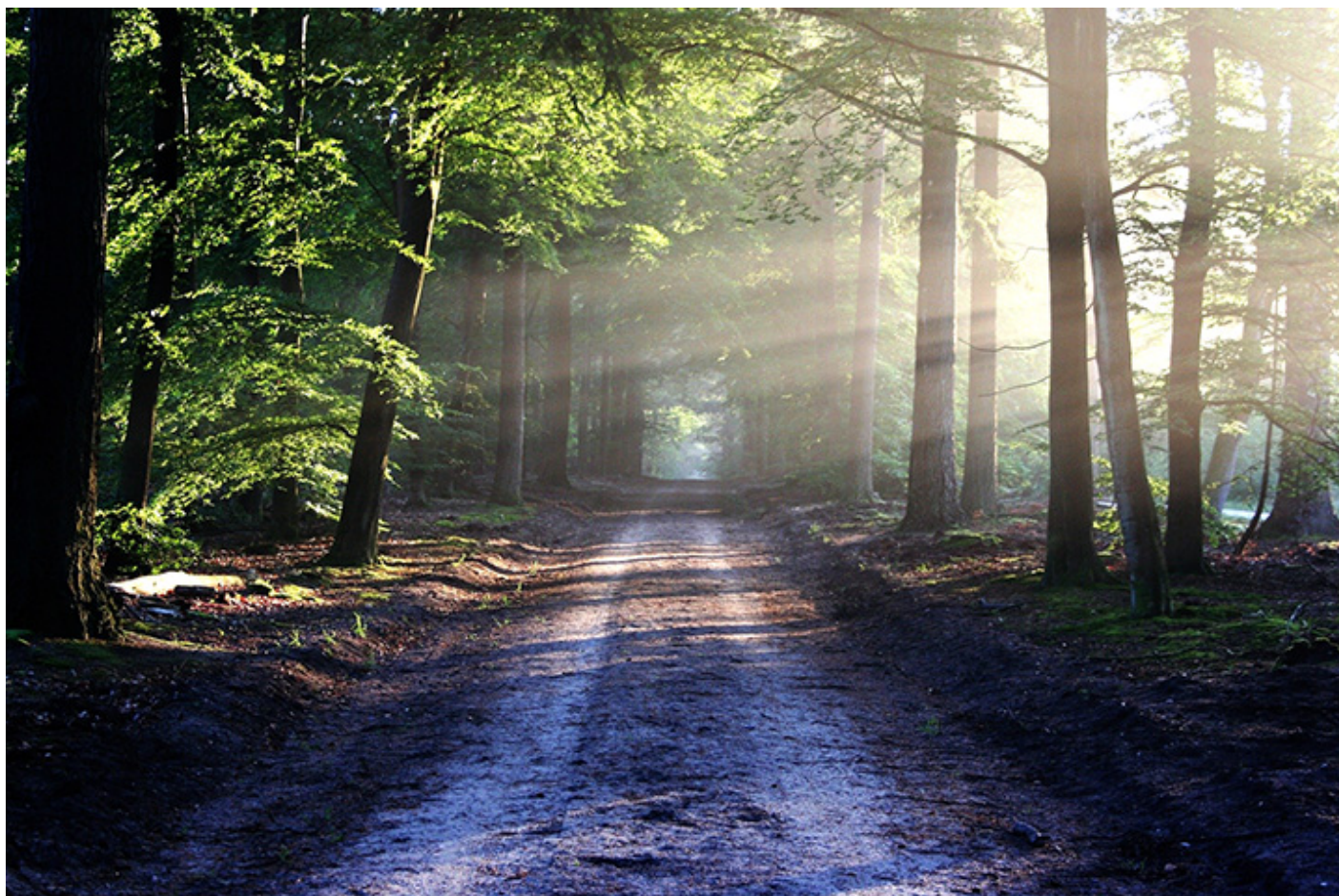
- Wydanie: pierwsze
- Miejsce i rok: Lublin, Norbertinum, 2021
- Objętość: 197, [2] s.
- Format: 147 x 208 mm
- Oprawa: miękka klejona
- ISBN: 978-83-7222-712-6

http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjjyfYLUxx_OMAs

Zbigniew Mirosławski, redaktor Współczesnej Polskiej Poezji i

periodyku - Magazyn Literacki, Aspiracje. Laureat ogólnopolskich nagród literackich.

Polskie drogi



Fot. bertvthul z Pixabay
Aleksander Lewicki (*Wilno*)

Wielokulturowe jest społeczeństwo, w którym żyję i

wieloma językami muszę mówić na co dzień... Jestem Polakiem z Kresów i moje serce jest na wskroś polskie! Moje skomplikowane i trudne życie rozdziera mnie na co najmniej trzy kraje. Po przesunięciu granic terytorium polskiego w stronę zachodnią, moje polskie korzenie z racji urodzenia, zostały na Białorusi, miasto Wilno na Litwie dało skromny dom, w języku rosyjskim musiałem się kształcić... Razy za polskość dostaję do dziś... Języka ojczystego nauczyłem się sam i takież On jest: starodawny, przez niedouczenie chropowaty, ale jakże kochany, serdeczny, najpiękniejszy! Żyję samotnie i całe życie szukam miłości tej prawdziwej, jedynej. Czasem wydaje mi się, że doganiam - ale to tylko cień... Posiadam jednak Skarb wielki, Skarb głębokiej wiary w Boga Stwórcę Jedyne. Upadam i wstaję podnoszony Jego Zbawczą Ręką. Wszystko wytrzymałem i wszystko z Nim wytrzymam... Chciałem grać - nie dano, chciałem lepić - wyśmiano, chciałem wyżej się kształcić - trudy życia i władza nie pozwoliły dokończyć studiów. Poezji i polskiego myślenia nikt mi z serca nie dał rady wyrwać... Dzięki Ci Boże za ich ocalenie!!! Tak żyłem i tak umrę...

Pozdrowienie z Wilna...

Z tych ziem dalekich, z tych ziem zabranych,

Takich Ojczystych i Ukochanych!

Z naszego Wilna śniegi Wam proszą

Swoją tęsknotą niech serca wzruszą.

Pamięć ożyje i serce drgnie,

Dzwony zadzwonią jakby to we śnie...

Wileńskie dzwony zadzwonią Wam,

Lęcą ukłony z Wileńskich bram...

Lecą od Wilna, przez Polskę całą

Im jest tak pilno, nie bijcie "brawo".

A tylko sercem słuchajcie nas,

Bo czas nadchodzi, nadchodzi czas...

Odkryjcie oczy, podnieście czoła!

z Ostrej Bramy, Matka zawoła:

„Wy moje dzieci umiłowane

Po całym świecie tak rozsypane!”

Od swojej ziemi, od ludu swojego,

Prosimy Boga, bo jest potrzeba.

By serca nasze do Was tęskniły.

Nikt nie rozdzieli, nie ma tej siły!

Polak nie zginie i Polska też!

Ostrobramska, chroń nas i strzeż!

Wileńska Rossa...

Zima, mróz i chłodny wiatr,

Wieje, bije, rozszarpuje...

A mnie woła, czeka Rossa,

Chłodnym rankiem tam wędruje...

Widzę z dala wzgórze Krzyży,

Jeszcze chwila-moment cały...

I odkrywa się mnie Rossa,

Wielkiej Dumy, Polskiej Chwały!

Nawet wiatr z pokorą ścicha

Hołd oddaje, salutuje!

Serce moje ciężko wzdycha,

Bóg Jedyny wie, co czuje...

Jak żołnierze-Wasze groby

Otoczyli Wodza swego,

Zakrywając sobą, sobą...

Stoicie tak dnia każdego!

Ile burz i ile grzmotów,

Rozdzierało się nad Wami...

Byliście jak ta Piechota,

Zawsze pierwsze, wciąż-Ci sami!

Zawsze z Bogiem i Honorem,

Za Ojczyznę i lud cały...

Oddając swoje życie,

Żeby innych życie trwało!

Schylam głowę ja z Uznaniem...

I odmawiam „Anioł Pański”.

Jestem dumny, bardzo dumny,

Żem człek polski, nie pogański!



Wilno, cmentarz, fot. omek999 z Pixabay

Dla - Polaka z Ameryki CZY Z INNEGO KRAJU...

Przyjechałeś - kochany z daleka,

Ameryka - czy inny to kraj.

A tu - Wilno, tak tęskni i czeka

I, odkrywa - Ci - serce - naj, naj!

*

Jakże, chce - Ciebie - Wilno, całować

I do serca, przytulić, jak - Syna.

Swoją Miłość - Ci, chce - podarować

I, zatrzymać - spotkania - godzinę!

*

Ostra Brama i... Matka - spoziera,

Zatęskniona, jak Matka kochana.

I tak czule, Ci - czoło, ociera

I całuje, gdzie - jest... twoja - rana!

*

Błogosławi - całe, Twe życie

I - ofiarność - co Polsce oddałeś,

I - spokojem - Twe serce - nasyci...

Bo - prawdziwie - Ty - Polskę - kochałeś!

Polacy

Polacy, polskie dzieci!

Rozrzucone jak nasiona.

Gdzie was nie ma, na tym świecie.

Polską krwią ziemia skropiona.

Choć kropelka, choć niewielka.

W każdej cząstce ziemi jest.

Bo ten Polak, jak muszelka!

Co ma w sobie perłę nieść.

Nie dajmy tylko utracić wiary.

Nie dajmy zrzec się Polskości!

Nie zapomnijmy „krwawe te dary”.

Kochanych przodków, co już w wieczności.

Nie zapomnijmy o Ojczyźnie!

O nas Polakach rozrzuconych.

Co żyją w biedzie na obczyźnie.

Poniewieranych, osieroconych.

I kiedy ktoś z nas jest bogaty.

A ktoś biedny przez całe lata.

Nie odrzucajmy swojej ręki.

Z miłością czułą przytulmy brata.

Nikt z nas nie winny, że tak żyjemy.

Ojcowie nasi oddali życie!

Lecz była siła od nas odmienna.

Co podzieliła nienależycie.

Polacy, polskie dzieci!

Ku chwale swojej w jedności wytrwajcie.

Do końca życia to przenieście.

Bóg, Honor, Ojczyzna - to pamiętajcie!



Wilno, stare miasto, fot. dmvl z Pixabay

Polskie drogi

Chodzę po lesie, pytam naokoło.

Czyja to własność, słyszę ktoś woła.

Stoję, tak stoję, tak zasłuchany.

Leśną pięknnością oczarowany.

Tymi liśćmi, tymi wrzosami.

Leśną muzyką i gałęziami.

Wśród tej piękności, głos szepce, mówi.

Polsko, ta ziemia tobie tak szumi!

Polskie te drogi, które zarosły.

Ciebie prowadzą, do siebie w goście.

One prowadzą do polskich domów.

Gdzie lasy z trawą szumią dokoła.

Do tych prześlicznych polskich ogrodów.

Których zapomnieć serce nie zdoła.

Drogi, wy drogi, dokąd wiedziecie!

Przecież naokoło szumi ten las.

Gdzie wy te domy polskie znajdziecie.

Rozkradli, spalili, zaborów był czas.

A drogi mówią, drogi nasz synu!

Pamięć nas nie zawiedzie.

Dla nas jak dawniej, Polska jedyna.

Choć podzielona jest na tym świecie.

Dla nas jak dawniej, chce się tych domów.

Polskiej rozmowy i ludzi kochanych.

Chce się prawdziwych mieć gospodarzy.

Tych, co kochają i dla ziemi oddanych.

Donieś, prosimy my ciebie, do ludzi.

Że ziemia pamięta i kocha.

Pamięć nasza, niech lud obudzi.

Ziemia czeka, tęskni i szlocha.

Zobacz też:

„Noc” i inne wiersze z Wilna

Wilno w poezji i obiektywie